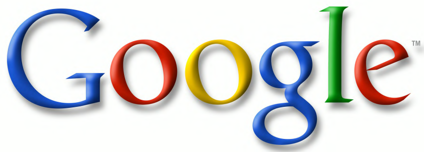

Google




EX·LIBRIS·
ACCIPE HOSPES·ABSCEDE HOSTES
W.O. BIERNACKI·PORAY

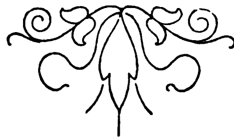
Z dawnych wspomnień

1846—1848

Ludwik Dębicki

Z dawnych wspomnień

1846—1848



Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie
1903

DRUKARNIA »CZASU« W KRAKOWIE.

Mojej Matce

i Ciotce Konstancyi.

Autor.

W domu mej matki, w Piotrkowicach, na ścianach wisiało kilkanaście starych portretów rodzinnych.

W strasznych dniach lutowych 1846 roku stały się one wraz z wszelkimi zabytkami, pamiątkami i ze starem archiwum domowem pastwą rozpasanej tłuszczy. Ocalał tylko jeden portret mego ojca, zmarłego na trzy lata przed tą krwawą katastrofą; uratowali go włościanie z Radlny, miejsca urodzenia mego ojca, gdy poznawszy go, wstrzymywali ikonoklastów w siermięgach, mówiąc: »dajcie pokój, bo to obraz świętego«.

Znikły te wizerunki rodzinne w mundurach, kontuszach, w czamarach z barankiem i aksamitnych frakach z koronkowemi żabotami, i portrety niewiast w robronach i pudrowanych fryzurach; jak wszystko znika i zaciera się z dawnej społeczności szlacheckiej!

Galicya jest krajem, w którym nie spotkać nawet ruin ze starych zamków i dworów, i jest krajem bez pamiętników, w jakie obfituje Litwa i Wołyń. Objeżdżając kraj ten, trudno się niekiedy dopytać, kto siedział w tej wsi, kto budował ten kościół, sadził te stare drzewa w ogrodach. Wstrząśnienia głębokie przeszły, a dziś nagłe idą ewolucye ekonomiczno-społeczne. Było i winy dużo własnej, która przyspieszała upadek, ale były nieszczęścia publiczne, a chwile porywu i ofiary przynosiły przełom i pogrom.

Nie dla czczej chluby, bo jej nie dopuszczają dzisiejsze czasy, i nie dla dumy rodowej, bo do niej skro-

mna kronika rodzinna nie daje powodu, wróćmy do tych portretów starych a zniszczonych, aby z tradycyi przerysować je na papier. Niech zostanie ten ślad dawnych czasów i ostatnich pokoleń.

* * *

Dębiccy herbu Gryf pisali się na Dębicy. Paprocki i Niesiecki zapisują, że z dawna dom ten słynął z czynów rycerskich. Ustalenie nazwiska sięga XV stulecia, jak świadczy akt działowy między braćmi w archiwach grodzkich. Do przedhistorycznej epoki należą owi Jaksowie, co władali w kraju Wendów, wśród Słowian zaelbiańskich, a których postacie spotykamy nietylko w kronikach, ale we freskach muzeum w Dreznie, jako pierwszych założycieli tego miasta. Już nie legendą z bajecznych czasów, ale faktem historycznym jest udział księcia Henryka sandomirskiego w wyprawie krzyżowej Fryderyka Rudobrodego, a ten książę z rodu Piastów miał za towarzysza Jaksę, który powróciwszy z krucyaty fundował Bożogrobców w Miechowie i w Oliwie, z myślą zakonu rycerskiego polskiego, na wzór krzyżowych rycerzy niemieckich. Istnieje jeszcze akt elekcyjny z XII wieku, zastrzegający powrót licznych włości w razie rozwiązania zakonu do potomków rodu Jaksów. Czy wszystkie rodziny, pieczętujące się Gryfem, mają prawo do tego przydomku, niech rozstrzygają heraldycy; to pewna, że trzy rodziny odwiecznie tego przydomku używały: Jaksa na Ruszczy i Branicach Branicki, Jaksa na Dębicy Dębicki, i Jaksa na Mielcu Mielęcki. Gniazdowa Dębica przeszła po kądzieli w XVI stuleciu w dom Ossolińskich, i nigdy odtąd sprzedaną nie była. Od Ossolińskich przeszła do Radziwiłłów, Od Radziwiłłów do Raczyńskich. Miała Dębica zamek na górze nad miastem, a szczątki zamku znikły w naszem stuleciu. Zamek w Zawadzie jest o wiele późniejszy.

Z utratą rodzinnego gniazda utracili Dębiccy o wiele wyższe dobro, bo wiarę katolicką, gdy w zamęcie reformacyi jedna linia tego domu przechodzi na aryanizm, następnie na kalwinizm, i w nim trwa do ostatnich czasów. Piszący jest pierwszym z rodziny, który powrócił na łono Kościoła katolickiego, dzięki wychowaniu matki. Od Zygmunta III innowiercy nie wchodzą do senatu, stąd niektórzy nowi heraldycy odmawiają Dębickim stopnia rodziny senatorskiej! Widocznie nie czytali Stanisława Orzechowskiego, który opisując pogrzeb hetmana Tarnowskiego, wśród znakomitych zebranych dygnitarzy wymienia Walentego Dębickiego, kasztelana sądeckiego. Później Stefan Dębicki był kasztelanem wojnickim.

Nie było atoli w tym rodzie postaci, któraby z ogólnego poziomu szlacheckiego wzniosła się na widownię historyczną, z wyjątkiem zbyt głośnego Marcina Dębickiego, chorążego sandomirskiego. Pan chorąży marszałkował w kole szlachty małopolskiej, miał gorącą przemowę do króla Jana Kazimierza, nie chcąc go dopuścić do aktu abdykacyi, powołując się na *pacta conventa*, które do śmierci wiążą króla przysięgą; on pierwszy obwołał Michała Wiśniowieckiego, wielkim był stronnikiem Jerzego Lubomirskiego, a zaciętym Jana Sobieskiego przeciwnikiem, wyrobiwszy nań nawet kondemnatę na sejmie, lecz Sobieski odpowiedział na wyrok zwycięstwem pod Chocimem. Różne są sądy o Marcinie Dębickim historyków. Wespazyan Kochowski zowie go »człowiekiem wielkiej gęby«, ale wnet dodaje, że należał do »poczciwych i niepodejrzanych o prywaty«. Boniecki w świeżo wydanym herbarzu, bardzo gruntownym, wymienia cały szereg Dębickich, ich czyny wojenne, sprawy sejmowe, ich posiadłości i parantele. W linii kalwińskiej najwybitniejszym był Świętosław, posłował do Szwecyi w układach Zygmunta III i otrzymał szwedzki tytuł hrabiowski. Stąd w dyplomie cesarza Leopolda II

z roku 1782 powiedziano, że tytuł ten bez taksy jest odnowionym, *renovatum*.

Genealogia sporządzona na podstawie metryk przez mego pradziada, wykazuje naszą linię do czasów Zygmunta III: Świętosław, dziedzic na Grębowie, Rzędowie, Sielcach, Zakrzowie, poseł do Szwecyi od króla Zygmunta III, ożeniony z Petronelą Morstinówną; syn jego Marcin z Zofią Ossolińską; Joachim Dębicki, który oprócz wyż wymienionego dziedzictwa posiadał nadto Krzywołęż i Ziemblice, z Krystyną Gołuchowską; Jan Wawrzyniec z Krystyną Bidzianką; Stanisław z Zofią Mielęcką herbu Gryf, córką hetmana; Stefan z Urszulą Żeleńską; Ludwik, jenerał wojsk królewskich, z Kunegundą, córką jenerała Goreckiego, a wdową po jenerale Gordonie. — Tenże jenerał Dębicki posiadał Zakrzów, Mikołajowice, Krukuszewice, Wrobowice, Liplas, Łazany, Nieznanowice i Pierzchowiec w bocheńskiem. Jeden z królów polskich nadał Dembickiemu z dóbr Niepołomickich wsie Dziewin i Mikluszewice, które rząd austryacki odebrał jako królewszczyznę, lecz po długim procesie, że to nie było starostwo lecz wieczyste nadanie, restytuował mojej babce nieznaczną sumę pieniężną za te wsie. Zakrzów, Krukuszewice i Wratowice trzysta lat zostawały w posiadaniu rodziny.

* * *

Najstarsze rody małopolskie mają przewagę polityczną w XV stuleciu, która w złotym wieku przekwitnie i ustąpi nowemu możnowładztwu, które z Małopolski sięgnęło na Ruś i do krajów ukrainnych, gdzie szeroką znalazły podstawę w wielkich latyfundyach i dorastały tam niemal udzielnego stanowiska, nowych królewiąt. Znikają Tenczyńscy, Melsztyńscy, utrzymują się Tarnowscy, lubo nie ciągle na tej wyżynie, jaką niegdyś zajmowali. W zakątkach spotyka się takich nie-

gdyś potentatów, jak rodziny Tarłów, Kmitów, Jordanów, Rożnów, Ligęzów, Odrowążów, którzy nie poszli za prądem kolonizacyjnym na Wschód i wkrótce potem w fortunach i znaczeniu zeszli do poziomu rzeszy szlacheckiej.

Na tym poziomie w ziemi krakowskiej ostał się liczny zastęp rodzin kalwińskich, połączonych częstymi związkami małżeńskimi i wspólnością religijną. Do tych rodzin należeli: Kępieńscy z Kępna w sądeckiem, herbu Krzywosąd, bardzo możny i stary ród, połączony z rodzinami niemieckiemi przez jedną Kępińską, którą poślubił margraf Bawarski. Żeleńscy herbu Ciołek, od wieków siedzący koło Niepołomic, Wielowiejscy, Różyccy, Gołuchowscy, Rusoccy z Oświęcimia, Chrząstowscy ze Szczepanowic. Rodziny te do ostatnich czasów dotrwały w kalwinizmie i stanowiły jakby zamknięty klucz.

Pradziad mój, Ludwik Dębicki, był tego klanu patryarchą pod koniec XVIII stulecia. Służył on wojskowo i doszedł do rangi jenerała w pierwszym okresie panowania Stanisława Augusta, który go odznaczył orderami św. Stanisława i orła białego. Do końca pozostał w partyi królewskiej, związany koleżeństwem i przyjaźnią z jenerałem Konarzewskim. Gdy pokojowa polityka Stanisława Augusta nie dawała pola do czynów wojskowych, jenereł Dębicki odznaczał się podobno za młodu podbojem serc pięknych pań w Warszawie, a jak mówi tradycya, gdy zachorował, wykradły go panie z mieszkania, aby go otoczyć troskliwą i czułą opieką. Ożeniwszy się z córką jenerała Goreckiego, a wdową po jenerale Gordonie, ustąpiwszy z wojska, osiadł na starsze lata w Krakuszowicach, zimy zaś spędzał w Krakowie, w »szarej kamienicy«, która do niedawna miała na szczycie tarczę z Gryfem Dębickich. Jenerał był bardzo lubianą i popularną osobistością, nietylko w kołach wojskowych i nietylko w klanie kalwińskim. Był on

opiekunem Henryka Dąbrowskiego, urodzonego z hr. von Letof, przyrodniej siostry pani jenerałowej Dębickiej; on go też wysłał do szkoły wojskowej w Saksonii, on polecił młodego oficera swym dawnym kolegom w Warszawie, gdy wstąpił w szeregi przed kampanią 1792 roku. Do Krakuszowic powracał Dąbrowski kilkakrotnie, jako do domu rodzicielskiego, o czem wspomina w pamiętnikach. Przez Dąbrowskiego zawarł jenerał Dębicki ścisłą znajomość z Kościuszką, przed kampanią 1792 roku. Gdy w dwa lata później z Drezna Kościuszko przybywał potajemnie do kraju, najpierw zjechał do Krakuszowic; tutaj przechował się stół, za którym przyszły naczelnik pisał odezwy, wzywając do rewolucyi. Z Krakuszowic dopiero pojechał do Krakowa, gdzie zamieszkał w pokoju nad bramą domu jenerała Wodzickiego. Ów stół, na którym pisał odezwy, nie był jedyną pamiątką Naczelnika, przysłał on jenerałowi Dębickiemu swoją miniaturę, uplecioną z własnych włosów w więzieniu petersburgskiem; ta pamiątka wraz z portretem Kościuszki jest jeszcze w mojem posiadaniu.

Gdy Henryk Dąbrowski powziął myśl legionu polskiego i z tą myślą pojechał do Paryża, jenerał Bonaparte, podówczas konsul Rzeczypospolitej, myśl pochwalił i do formacyi legionu zachęcał, ale dodał: przywieź pieniądze, bo Rzeczpospolita niema na to funduszu. Dąbrowski wrócił do kraju, sprzedał wieś rodzinną Pierzchowiec jenerałowi Dębickiemu, zebrał inne do tego ofiary, i z funduszem wrócił do Paryża. Napoleon na legion się zgodził, i przyrzekł, że za sprzedaną wieś rodzinną zwróci mu kiedyś inne dobra. Obietnicy dotrzymał, skąd nadanie Dąbrowskiemu Winnej Góry, jakby restytucyi za Pierzchowiec, gdzie później za staraniem Dębickich i Kępińskich, za współudziałem obywatelstwa ziemi bocheńskiej wzniesiono pomnik wodzowi legionów.

Jeszcze jedno wspomnienie z Szarej kamienicy na rynku krakowskim, gdzie jenerał Dębicki podejmował hucznem śniadaniem księcia Józefa z jego sztabem, gdy tenże po dniach Raszyna, Częstochowy, Kocka przybył do Krakowa. Wiadomo jak wesoło spędzała bohaterska drużyna księcia Józefa ten pobyt w starej stolicy, z jakim zapałem witała ludność i witały wielkie panie wojsko narodowe. Słynny był bal w Sukiennicach, pamiętne podwieczorki w willi pod Lipkami u pani Zofii Zamoyskiej. Niemniej ochocze było to śniadanie w Szarej kamienicy u sędziwego już jenerała Dębickiego. Jedyna jego córka Elżbieta słynęła z urody i wdzięku, otrzymywała też hołdy rycerskiego grona, a jenerał Madaliński prosił o jej rękę. Dawniejsze przeważyło uczucie, i Elżbieta Dębicka poślubiła krewnego, oficera Jana Kępińskiego.

Wiele opowiadań z ust starszych osób słyszałem w latach dziecinnych o mym pradziadzie i jego domu. Pan Paweł Gostkowski z Kąśny opowiadał, jak ojciec zawiózł go z Sułkowa do sąsiednich Krakuszowic. Byłem ubrany za Turczynka — mówił — a pan jenerał, widząc mnie w tym stroju, powiedział, że Turek nie obywa się bez lulki i cybucha, kazał nałożyć fajkę liściami z róży. Nie zapomnę nigdy tego dworu w Krakuszowicach, gdzie malcem będąc paliłem fajkę i przysłuchiwałem się rozmowie starszych.

Inny starzec, biskup Łętowski, opowiadać mi lubił o jenerale Dębickim, a zwłaszcza jego małżonce, którą mienił poważną, polską matroną. A to rzecz niemała — dodawał z uśmiechem — bo matrona polska winna umieć przyjąć licznych i dostojnych gości w bawialni, zająć ich rozumną rozmową, a pamiętać, gdzie są synowie, jakie sukienki wdzieją córki, co się dzieje w pralni, w kurniku, być radą i pomocą mężowi w najważniejszych sprawach, a umieć zarządzić jak biją wieprza,

spuszczają wino i podbierają miód w pasiece. Kochanowski powiedział: dobra żona, męża korona, a przysłowie mówi, że mąż dźwiga jeden węgieł domu, a żona podpiera trzy inne węgły.

Byłem na pogrzebie pani jenerałowej; gdy początek orszaku był już w rynku wojnickim, karawan ruszał dopiero z przed dworu w Zakrzewie. Było tam trzech pastorów, bo jenerałowa była także z rodu kalwińskiego, ale przybyło na pogrzeb pięćdziesięciu księży katolickich. Bądź też spokojny o swych przodków — dodawał z cicha biskup — bo choć trzymali się twardo kalwinizmu, nie mieli żadnego jadu przeciw Kościołowi katolickiemu.

Świadectwo biskupa wskazywało dziwną tolerancyę w rzeczach wiary, jaka panowała w Polsce, gdy przygasł animusz reformatorski XVI stulecia. Gdy zborów bywało coraz mniej i coraz mniej pastorów, jeżdżono do kościołów katolickich, czyniono nawet zapisy i fundacye, przestrzegano postów, lecz nie odstępowano od herezyi, bo zmiana religii nie przystawała dobremu szlachcicowi. Indyferentyzm XVIII stulecia jeszcze bardziej te różnice zarównywał, nie spierano się ani o dogmata ani o praktyki. Trzymano się wyznania jak tarczy herbowej, a ja sam tego doznałem za młodych lat, gdy dzięki wychowaniu matki zostałem katolikiem, że starsi krewni i sąsiedzi czynili mi za to wyrzuty, choć sami mieli się za dobrych katolików.

Najstarszy z trzech synów jenerała, noszący jego imię, Ludwik Dębicki, wstąpił do wojsk napoleońskich, odbył kampanię moskiewską 1812 i niemiecką 1814 roku. Był w palącej się Moskwie, pod Możajskiem i nad Berezyną, a miał nadzór straży obozowej przed wielką batalią lipską. Był on zrazu adjutantem jenerała Zajączka, skończył kampanię w randze majora, i otrzymał krzyż wojskowy.

Czyny wojenne w tradycyach zacierają się łatwo, ale dłużej trwają anegdoty obozowe. Pan Ludwik był dzielnym żołnierzem i wybornym naratorem — ale ja go nie znałem, urodzony w roku jego śmierci — słyszałem z ust trzecich szczegóły przygód obozowych. Miał on przy boku służącego Walentego z Wiatrowic, bardzo wiernego i zarazem obrotnego ciurę. Po wejściu do Moskwy, zanim wybuchł pożar, Dębicki poszedł z innymi oficerami oglądać Kremlin. W jednej z sal zamku cara widzi on żołnierza, który stojąc na fortepianie, odcina pałaszem adamaszkowe firanki ze złotemi frendzlami. W żołnierzu poznaje Walentego. — Co ty tu robisz nicponiu? — Panie — zda się to na gorsety dla krakowianek. Nietylko o dziewczętach z Wiatrowic pamiętał Walenty w Kremlinie, objuczył on trzy konie zdobyczami ze stolicy rosyjskiej, lecz konie wraz z kosztownymi łupami zatonęły w Berezynie. Do końca życia wspominał z żalem tę stratę, w której było całe bogactwo. Walenty nietylko do rabunku wojennego był sposobny, co zresztą było ogólne w wielkiej armii, ale był wybornym kucharzem i przemyślnym dostawcą. Gdy w czasie odwrotu z Moskwy wojsko cierpiało straszny głód, a i starszyźnie nie łatwo było o pożywienie, do Ludwika Dębickiego przychodził jenerał Dąbrowski, cioteczny brat, i jenerał Zajączek, którego on był adjutantem. — Walenty! przyjdą jenerałowie, będziesz miał co dać na kolacyę? — Jest panie kura, bardzo chuda, ale ją dobrze świecą wysmarowałem. — Kura tak przyrządzona, była wielkim przysmakiem dla wodzów. Oprócz głodu doskwierał mróz, a mundury w długiej kampanii zniszczone. Ludwik Dębicki miał zamiast płaszcza derkę, gdy z Wilna do Warszawy przywiozły go jakieś zacne Litwinki w swej karecie.

Jenerał Dębicki umarł w Krakowie w roku 1811. O zasługach obywatelskich i wojskowych, o ogólnym

[illegible] rozpisuje się szeroko [illegible]. Syn jego Ludwik nie opuścił sztandarów napoleońskich do końca, a po Waterloo pozostał jeszcze kilka lat w Paryżu. Przedłużony ten pobyt ulubionego syna w stolicy nadsekwańskiej pochłonął część fortuny, gdy pani jenerałowa dla najstarszego ukochanego syna kilka wiosek sprzedała i nadsyłała do Paryża pieniądze.

Później powrócił i objął w posiadanie Lipias pod [illegible]dowem. Był dobrym gospodarzem, niezrównanym narratorem przygód wojskowych, miłym towarzyszem i ożenił się w roku [illegible] z Kunegundą z [illegible]kowskich Siańska, która miała z pierwszego małżeństwa córkę Celinę, moją matkę. Z drugiego małżeństwa z Ludwikiem Dębickim urodził się syn Władysław [illegible] i córki: Ludwika, ksieni dam angielskich w Pradze, Helena w zakonie Urszulanek i Marcelina, dotąd żyjąca w Jaworowie. Ludwik Dębicki nabył od [illegible] Florentiniego posesyę Szlak w Krakowie i tam umarł w roku [illegible], równocześnie ze swoim bratankiem, także Ludwikiem Dębickim a moim ojcem. Obaj pochowani na cmentarzu kalwińskim w [illegible]szanowicach, mają tam wśród starych lip swoje pomniki.

Niedawno temu, panie Karolu, mawiał do mnie pomny mego dziada Karola, żyjący już biskup Łętowski: 60 lat temu sześćdziesiąt służyłem ze Stanisławem Dębickim w gwardyi cesarskiej w Wiedniu. I tak dokazywaliśmy z Wiedeńkami, że gwardyę galicyjską rozwiązano. Potem z jego bratem starszym, Ludwikiem, odbyliśmy kampanię moskiewską, i potem z trzecim bratem, a twoim dziadkiem, Karolem, razem cholewki paliliśmy do panny Ujejskiej. On ją dostał, a ja zostałem księdzem.

Stanisław Dębicki, który służył w gwardyi galicyjskiej w Wiedniu, umarł młodo. Karol, ożeniwszy się z Kunegundą Ujejską, osiadł na roli w odwiecznem Dę-

bickich dziedzictwie, Zakrzowie i Mikołajowicach, a wziął w posagu Swierczków, Białę i Radlnę pod Tarnowem.

Pani jenerałowa do śmierci mieszkała w Zakrzowie, gdzie wzniosła nowy dwór. Przy jej córce Elżbiecie chowała się uboga krewna, Elżbieta Wysocka, która choć nie miała ani posagu ani urody, z domu jenerałowej Dębickiej poślubiła Michała hrabiego Tarnowskiego z Chorzelowa. Zacna ta pani do zgonu zachowała wdzięczną pamięć dla rodziny swych wychowawców i dobroczyńców.

Urodziwa i posażna Elżbieta Dębicka mniej świetny zrobiła wybór, wychodząc za ciotecznego brata Kępińskiego; patrzała na srogą śmierć syna i synowej pod cepami i kosami w roku 1846, i dożyła późnej starości. Wziąwszy we wianie Krakuszewice i Wrabowice, skutkiem złego zarządu odprzedała je w obce ręce.

* * *

W zbiorze portretów rodzinnych, który zniszczyła rabacya chłopska 1846 roku, obok portretu mężczyzny w mundurze wojskowym wisiał wizerunek bardzo typowej postaci w czamarze granatowej, obszytej siwymi barankami. Było coś marsowego, niemal srogiego w tem obliczu. To konfederat barski, Ignacy Ujejski, pieczętujący się Śreniawą. W konfederacyi odznaczył się męstwem w wielu potyczkach i wyprawach, a Ujejski ze szwagrem swym Rogalińskim pod Dumouriezem wdarli się pierwsi podziemnem przejściem na zamek Wawelski. Ujejski był tak żarliwym zwolennikiem konfederacyi, że chcąc odciągnąć swego sąsiada i przyjaciela, jenerała Dębickiego, od stronnictwa królewskiego na stronę Barszczan, w żwawej rozprawie na poparcie swych argumentów trzymał palec w świecy, aż skóra dobrze zaskwierczała w płomieniu. Żywość temperamentu łączyła się z fantazyą niekiedy zbyt niebezpieczną, bo opowia-

dają o nim, że jadąc karetą ze Swierczkowa do Radlny, hajdukom na koźle odstrzeliwał kutasy od czapek z pistoletu. Była to wprawa ręki i zabawa rycerska więcej ryzykowna, niż owe strzały do korków u trzewików żony, jakie bywały w zwyczaju po bankietach szlacheckich.

Gdzie rzeka Biała wpada do Dunajca, stał obszerny dworzec modrzewiowy wśród ogrodu w stylu włoskim o strzyżonych szpalerach świerkowych. To dwór pana Ujejskiego, Świerczków pod Tarnowem, opisany w pięknym poemacie Kornela Ujejskiego »Podróż przerwana«. W tym dworze konfederat barski dożył późnej starości, choć w ostatnich latach nie dźwigał się z krzesła, przykuty podagrą i częściowym paraliżem. Ożeniony był z Dąmbską z Wojnicza, która wcześnie zmarła i zostawiła jedyną córkę Kunegundę, wychowywaną po zgonie matki na dworze księżny Lubomirskiej Marcinowej, Hadykównej z domu. Książę Marcin, słynny ze swych przygód i awantur, był towarzyszem pana Ujejskiego z wypraw konfederackich. Bogata jedynaczka, powróciwszy do domu ojcowskiego, otoczoną była rojem konkurentów. Książę wojewoda ruski, Hieronim Sanguszko, chciał córkę sąsiada wyswatać za syna swej żony z pierwszego małżeństwa, Kuczkowskiego, właściciela Muchowy, a sentyment panny zwracał się w stronę tego konkurenta. Lecz ojciec swaty książęce odsunął, zwłaszcza, że związek księcia Sanguszki z rozwiedzioną żoną p. Kuczkowskiego, Pruszyńską z domu, nie był w estymie wśród szlachty, gdzie jeszcze tkwił surowy obyczaj, przeciwny modnym rozwodom.

Pan Ignacy postanowił małżeństwo swej jedynaczki z synem dawnego przyjaciela, którego mimo spalonego palca do sprawy konfederackiej namówić nie zdołał, i mimo płaczu panny odbyło się wesele w Swierczkowie z Karolem Dębickim, synem jenerała.

Życie w swierczkowskim dworze było na stopę więcej niż szlachecką, dom bardzo otwarty, kapela nadworna, częste i doborowe zjazdy. A moja matka, która miała zostać kiedyś synową owej jedynaczki, pamięta z dziecinnych lat jeden z takich zjazdów w świerczkowskim dworze. Pamięta zebrane grono gości, wśród nich panią Czacką, córkę starościny wolbromskiej, panią z Potockich Oborską, niegdyś słynną z urody, dwie piękne panny Rejówny — i pamięta jak przed obiadem hajducy wtoczyli krzesło, na którym siedział gospodarz domu o siwych włosach i z dwoma laskami w ręku. Wspomina także toast na cześć gospodarza, który wnosił przybyły z Rusi Stanisław Dzieduszycki. Pan Ujejski nosił się po polsku i przestrzegał we wszystkiem dawnego obyczaju.

* * *

I znów inna postać z opowiadań rodzinnych i inny portret w niebieskim fraku i w peruce pudrowanej.

Starosta Antoni Szujski przybył za młodu z Białorusi, gdzie ten ród od trzech wieków osiadł — w krakowskie województwo, bo wziął w spadku po krewnych Rzędzianowice i Racławice, a nabył w ziemi sądeckiej dobra Zręczyce.

Ożeniony był dwukrotnie. Pierwszy związek zawarł w Wielkopolsce w domu hr. Łochockich. Bardzo to była można rodzina, skoligowana z Kalksteinami, Platerami, i Mieszkowskimi — wygasła w pierwszej połowie XIX stulecia na dwóch braciach pani starościny Szujskiej, którzy zeszli ze świata bezpotomnie. Długie toczyły się z rządem pruskim procesa o rozległe dobra Barcin, Mamlice, Słupowo i Łobżenka w okolicach Bydgoszczy. Rząd pruski wziął te dobra w administracyę, sprzedał samowolnie jednemu z książąt domu panującego rzeszy niemieckiej — a na spóźnione reklamacye sukcesorów rozrzuconych w Koronie i Litwie — wydał stanowczy

wyrok *ewige Stille*. Zostały tylko papiery z inwentarzem, w których ciekawy spis bogatych klejnotów, robron, mebli, sprzętów, stada koni, wielkiej biblioteki i słynnej z win na całą prowincyę piwnicy. Część tylko spadku za te mobilia została odebrana. Poprzednicy dzisiejszych komisyi kolonizacyjnych o zwrocie rozległych dóbr, które oddano w ręce niemieckie, nie chcieli słyszeć pod pozorem rozmaitych prawnych kruczków. Natomiast za pałac w Warszawie, wzięty pod cytadelę, piszący te wspomnienia zdołał wyrewindykować od rządu rosyjskiego pewną sumę, a był to także spadek po siostrze braci Łochockich, kasztelanowej Muczkowskiej.

Z hrabianki Łochockiej miał starosta Szujski syna Józefa, właściciela Dąbrowy i Zręczyc, ożenionego z Kitlińską, i córkę Antoninę, poślubioną Slaskiemu, moją prababkę.

Powtórnie poślubił Urszulę Święcicką, i z niej miał dwóch synów i trzy córki.

Jeden z synów, Józef, ożeniony z Dzierzkówną, którą wykradł z klasztoru w Staniątkach, przeniósł się do Rosyi, a jego syn, jako jenerał rosyjski, zginął na Kaukazie. Drugi syn starosty, Piotr Szujski ze Zbyszyc pod Sączem, ożeniony 1° voto z hrabiną Lanckorońską z domu Stadnicką, 2° voto z Teklą Jełowicką. Wnuk zaś pana starosty, Józef, słynny historyk i poeta, poślubił siostrę swej stryjenki Joannę Jełowicką.

Była wielka różnica wieku między dziećmi pierwszego a drugiego łoża, tak, że moja prababka, Antonina z Szujskich Slaska, wychowywała razem swoje dzieci z swojem młodszem rodzeństwem. Ja zaś przypadałem ciotecznym wnukiem Józefowi Szujskiemu, choć od niego tylko o sześć lat młodszy.

Ród Szujskich zdawna osiadły na Białej Rusi, używał tytułu książęcego i pieczętował się Św. Jerzym, choć miał indygenat polski z Nałęczą. Była w tym rodzie

wielka duma z pamięci na tron w Moskwie i srebrne pomniki bojarów Szujskich w Ławrze pieczerskiej Kijowa, ale ta duma zwłaszcza uwydatniała się wtedy, gdy kto z tego rodu majątkowo podupadł. Widzieliśmy przejmujący obraz tej budującej dumy wśród nędzy w rodzinie jednej z córek starosty, Petroneli z Szujskich Kąckiej.

Anczyc w popularnej sztuce »Kościuszko pod Racławicami« przedstawia starostę Szujskiego jakoby typ wstecznictwa i szlacheckiego sobkostwa, przeciwstawiając mu patryotyzm żyda arendarza. Nie dość skarcono autora za tendencyjne sfałszowanie historyi, miała się bowiem rzecz wręcz przeciwnie. Pan starosta Szujski, jego dom, a zwłaszcza pani Urszula Szujska, odznaczali się w czasie powstania Kościuszkowskiego gorącym i czynnym patryotyzmem. Wiadomo, że słynny Bartosz Głowacki pochodził z Rzędzianowa i był poddanym starosty Szujskiego. Znane są dwa listy Kościuszki z prośbą i podziękowaniem za uwolnienie od poddaństwa ludowego bohatera z pod Racławic i za hojne obdarzenie jego żony i rodziny. Dokonali tego państwo Szujscy *motu propio*, zanim otrzymali prośbę Kościuszki, i ten akt nie był czemś niezwykłym i przeciwnym tradycyom szlacheckim, skoro od wieków za czyny wojenne chłop otrzymywał nietylko wolność, lecz dyplom z herbem. Pamiętnik, również przez Anczyca oczernionego i ośmieszonego, burmistrza krakowskiego Lichockiego, którego brat zginął jako pułkownik pod wodzą księcia Józefa, świadczy wraz z wieloma korespondencyami o patryotyzmie domu Szujskich.

Pan starosta, rozdzieliwszy znacznie uszczuplony wypadkami politycznymi majątek między swe dzieci, osiadł na starość u najstarszej córki, pani Slaskiej w Bachcicach pod Tarnowem. Miał on przy sobie sekretarzem starego szlachcica Skrockiego, który dzieckiem uratowany został z rzezi Pragi. Skrocki był następnie guwernerem jego wnuka a mego dziada Jana Kantego Slaskiego —

jeździł z nim do Wiednia w czasie kongresu w r. 1815, odwożąc młodzieńca do Teresianum, następnie w sprawach spadkowych po Łochockich do Prus — i otrzymał od swego wychowanka w dożywocie folwark Meszna szlachecka. Skrockiego znał jeszcze Józef Szujski, i na tle opowiadania tego zajmującego starca osnuł poemat o rzezi Pragi. Pani Antonina z Szujskich Slaska, właścicielka Piotrkowic i Bachcic, miała bardzo tragiczne życie. Wcześnie cieowdowiała, odumarł ją ojciec, zmarła szesnastoletnia córka Urszula, a na wiadomość, że jedyny pozostały syn, chowający się w Teresianum w Wiedniu, zachorował na tyfus, w drodze do Wiednia dostała pomięszania zmysłów. W tym stanie dożyła w domu swej wnuczki, a mojej matki, do katastrofy 1846 r. W chwilach przytomności opowiadać lubiła o wojnach napoleońskich, o wielkim świecie w Warszawie, gdzie bywała z swą ciotką, kasztelanową Mieczkowską, u pani kasztelanowej Połanieckiej, i w pałacu pod Blachą; o kongresie wiedeńskim, na który, towarzysząc synowi, pojechała do stolicy. Opowiadania bardzo zajmujące, kończyły się zwykle szalonym śmiechem. Napoleon, mówiła, po wielkiej bitwie ustawił żołnierzy w czworobok, i potem na ich głowach drugi czworobok i tak wielką z wojska zbudował piramidę, kazał podpalić i była z tego wielka cebula. To znów wnuczce, którą lubiła, ale uważała za obcą sobie, mówiła, chciałabyś pójść za mojego Kantusia? Na odpowiedź, że to mój ojciec, wpadała w gniew; on taki młody, taki piękny, on w szkołach, gdy wróci, będzie Polska.

Był to straszny szekspirowski obraz, gdy bandy chłopów otoczyły dwór w Piotrkowicach: padały drzwi i okna wyrąbane siekierami, a pijana tłuszcza zastała tylko samą dawną swoją dziedziczkę obłąkaną. Na ten widok cepów i kos, wobec rabunku i wrzasków, nieszczęśliwa staruszka wyzionęła ducha.

* * *

W malowniczej okolicy nad Sanem, stoi wśród starych drzew kilka baszt dawnego zamku i resztki murów obronnych. Jedno skrzydło zamku przebudowano niedawno na nowożytny pałac. To gniazdo rodziny Starzeńskich herbu Lis, Dąbrówka Starzeńska.

Z końcem XVIII stulecia rezydował tu pan regimentarz wojsk królewskich Starzeński, prawa ręka hetmana Klemensa Branickiego, kasztelana krakowskiego.

Brat jego Maciej wziął dobra Pietków na Podlasiu i Strablę na Litwie. I tak się rozdzieliły dwie linie tego rodu.

O Panu regimentarzu nie wiele podać mogły tradycye starych krewnych, których z dziecinnych lat zapamiętałem, natomiast wiele szczegółów o dworze jego wdowy, z domu Rogalińskiej, herbu Łodzia, zwanej powszechnie »Jejmością«.

Byłoby to największem ubliżeniem, gdyby kto z gości, rezydentów, a choćby własne dzieci, inaczej przemówić się ośmieliły do pani Starzeńskiej, jak »jejmość dobrodzika«.

Stary portret, istniejący dotąd, świadczy jak poważnie i dostojnie wyglądała ta pani. O zasobności domu przechowała się anegdota, że gdy córka, pani Spławska, z zamku w Dębnie przyjechała do zamku w Dąbrówce, panna służąca rzuciła na ziemię porcelanowym talerzem, który jej podał lokaj, mówiąc, że gdy państwo jedzą na srebrze, ona nie będzie jadła na skorupach. Było też w Dąbrówce zastawy i talerzy srebrnych na sto osób.

A nie było to w owych czasach osobliwością, każdy dom możniejszy posiadał część majątku w srebrach. Dopiero po wojnach napoleońskich nastąpił tak zwany poncerunek czyli przymusowe stemplowanie srebra, po którem nastąpiła przymusowa zamiana srebra na rządowe banknoty walutowe, a w pół roku później redukcya tej waluty ze 100 na 5. Oto w jaki sposób rządy cesarza

Franciszka w dworach szlacheckich w Galicyi i w kościołach polskich szukały wynagrodzenia za koszta wojen napoleońskich.

Obok zbytku w srebrach, był w zamku w Dąbrówce dostatek, była nadworna kapela i marszałek dworu, a jejmość nie wyjeżdżała nigdy inaczej, jak karetą o sześciu białych koniach, z forysiem i dwoma hajdukami.

Dwóch synów podzieliło spuściznę pana regimentarza: Ksawery osiadł w Górze ropczyckiej, Aleksander objął Dąbrówkę nad Sanem.

W pałacu królewskim w Wersalu oglądać można portret pędzla Dawida, przedstawiający kobietę w białej sukni, z czerwonym szalem, opartą romantycznie na skale; ten portret, którego kopia znajduje się w muzeum Ossolińskich we Lwowie, przedstawia żonę pana Ksawerego Starzeńskiego, z domu hrabiankę Jaworską. Podanie mówi, jakoby młodzież akademicka, trzymająca straż w czasie jakiejś uroczystości w galeryi w Luwrze, skrzyżowała bagnety wstrzymując wychodzącą piękną Polkę, i mówiąc, że nie dopuści, aby uciekła Wenus medycejska. Działo się to za pierwszego cesarstwa, a w sześćdziesiąt lat później znał piszący staruszkę o zapadłych oczach, opadłych policzkach i otwartych ustach, która na ostatnie lata życia osiadła przy klasztorze Św. Józefa w Krakowie na dewocyi, a dla pokuty i umartwienia zamiatała kościół. Po bardzo świetnem i burzliwem życiu w różnych stolicach Europy, otaczała ją teraz troskliwa opieka dwóch córek, hr. Gabryeli Michałowej Starzeńskiej z Olejowa i hr. Julii Krasickiej z zamku w Baranowie. Jedyny syn państwa Ksawerych Starzeńskich, Ekscelencya hr. Kazimierz Starzeński z Góry Ropczyckiej, miał wznowić tytuł swego dziada regimentarza, gdy formował pułk Krakusów w czasie wojny austryacko-pruskiej w roku 1866. Do bardzo wybitnej postaci Kazimierza Starzeńskiego, który wyglądał, jak trafnie powiedziano, jak wyglądać

mogli towarzysze Wallensteina, powrócimy niejednokrotnie w dalszym toku pamiętnikowego opowiadania.

Gdy Kazimierz Starzeński wychował się w Wiedniu, służył w wojsku austryackiem i był pierwszym w Galicyi przedstawicielem polityki, opierającej się na tronie Habsburgów, doznając wielkich na dworze cesarskim względów; dwaj jego stryjeczni bracia, synowie Aleksandra z Dąbrówki, urodzeni z hr. Jabłonowskiej, Wojciech i Adam, brali udział w powstaniu w 1831 r. Ich siostra poślubiła hr. Piotra Komorowskiego z Bilinki. Wojciech Starzeński poślubił hr. Dulską, brat jego Adam z Krzywczy Celinę Badeniankę.

Wróćmy jeszcze do jejmości pani regimentarzowej Starzeńskiej w Dąbrówce. Miała ona jedyną córkę Kunegundę, którą wydała w trzynastym roku życia za Wykowskiego herbu Jastrzębiec, właściciela kilku wiosek w sanockiem. Trzynastoletnia panna młoda nie chciała jechać do ślubu, zwłaszcza, że pan młody był już podeszłego wieku, dopiero przełamano jej opór, gdy do karety włożono ulubioną lalkę. Przedwczesne to małżeństwo, po kilkoletniem pożyciu, zwyczajem owych czasów zerwanem zostało, a nowy związek zawarty z Janem Chryzostomem Spławskim, oficerem wojsk napoleońskich.

Państwo Spławscy zamieszkali w zamku Dębno pod Tarnowem, dobra Dębno trzymali w dzierżawie od bogatej rodziny Rudnickich, a posiadali na własność dobra Okocim i Rosenbark. W zamku w Dębnie przyszła na świat i wychowała się moja matka, a wnuczka gospodyni domu, po najstarszej córce Kunegundzie z Wykowskich Slaskiej. Babka, surowa dla własnych córek, ukochała szczególną miłością tę wnuczkę Celinę.

Zamek gotycki w Dębnie, niegdyś Oleśnickich, a potem Tarłów, był w owej epoce ogniskiem hucznego i wesołego życia. Opowiadania mej matki z lat dziecinnych przedstawiają Dębno w podobnych barwach, jak

Soplicowo. Kilkanaście osób krewnych, powinowatych i przyjaciół mieszkało stale, po lat kilkanaście, niektórzy całe życie. Wśród rezydentów byli tacy, co trzymali własny ekwipaż. Urządzenie zamku dostatnie, ale bez błyskotek. Wielka sala jadalna o stole dębowym, za nim bawialnia, gdzie odbywały się bale i teatra, po tem skarbiec z obiciem karmazynowem, gdzie zwykle pani domu zajmowała kanapę, witając przybywających gości. Za skarbcem kaplica. Oprócz dwóch córek z pierwszego, dwóch z drugiego małżeństwa, bywało zawsze kilka panien krewnych na wychowaniu i dla zabawy. Panny grywały na fortepianie, arfie i gitarze, haftowały na krosnach w zagłębieniu okien, każda miała sztambuch zapełniony wierszami licznego grona przebywającej młodzieży. Gdy był zjazd lub bal, co zdarzało się często, panny do sukien białych lub różowych kroju *empire*, bo mody się w tym zamku nie zmieniały, miały na głowie kokardy *à la Girafa*. Pani domu przywdziewała na takie uroczyste przyjęcia aksamitną suknię, wielki łańcuch z krzyżem dyamentowym, kapelusz biały z piórami strusiemi, a na ręku szal turecki. Zmiana zachodziła tylko w barwie szalu, a było ich sześć: pomarańczowy, czerwony, turkusowy, biały, czarny i zielony, a każdy można było przeciągnąć przez pierścionek.

Na Nowy Rok, Wielkanoc lub w dzień solenizacyi, miała zwyczaj pani Spławska wynosić ze skarbca dwie kobiałki, jedną pełną złota, drugą pełną srebra, i po garści rozdawać dukaty dzieciom, krewnym i rezydentom, a cwancygiery służbie zamkowej i włościanom przybywającym z życzeniami.

Przed kilku laty przybył do Krakowa z Ukrainy sędziwy pan Dyonizy Rakowski. Gdy go poznałem w domu państwa Pawłów Popielów, opowiadał o swym pierwszym w Galicyi pobycie. Po przejściu korpusu jenerała Romarina w r. 1831, młody powstaniec błą-

kałem się przez dni kilka bez grosza w kieszeni w podartym mundurze, gdy ujrzałem przy gościńcu zamek. Nieśmiało wszedłem do bramy, wprowadzono mnie zaraz do pokojów na górę, gdzie zastałem trzy młode panny, grające i śpiewające, i małą dzieweczkę; pamiętam jej imię, Celinkę. Panie te, jakby przywykłe do tak niespodziewanych gości, powitały mnie uprzejmie, zaprowadziły do sali jadalnej, nakarmiły zgłodzonego, mówiąc, że rodzice wyjechali w sąsiedztwo, żebym się zatrzymał do ich powrotu. Tak dobrze zatrzymano mnie nazajutrz, że zostałem w tym zamku pół roku. Jakaż była radość pana Rakowskiego, gdy mu powiedziałem, że mała Celinka żyje, mieszka w Krakowie i jest moją matką.

Nazajutrz powitanie w naszym domu i przypominania po sześćdziesięciu latach były rozrzewniające.

— Matka pani dała mi sztukę płótna i kazała uszyć bieliznę, ojczym, pan Ludwik Dębski, dał mi kożuszek i buty, a babka pani Spławska, widząc że używam tabaki, napełniła moją tabakierkę dukatami, przysypawszy je zwierzchu tabaką.

— A jak pan pięknie śpiewał, przypominała moja matka.

— Śpiewałem, bo nie mogłem tańczyć w pierwszych dniach mojego pobytu w Dębnie, dla zbyt podartego ubuwia.

W dalszem opowiadaniu przypominano wiele szczegółów, jak pan Rakowski po półrocznym pobycie na podstawie amnestyi powrócił na Ukrainę, a jak wielka była radość i serdeczne powitania w Dębnie i Liplasie, gdy w dwa lata później jakaś czterokonna kareta zajechała, był to pan Dyonizy Rakowski, który już za paszportem jechał własnymi końmi do Neapolu.

Nie był to jedyny emigrant, co w tym zamku takiej doznał gościnności. Emigrantów ścigał rząd austryacki i ciągłe odbywały się rewizye, ale zamek w Dębnie miał

wiele kryjówek. Z jedną kryjówką w baszcie łączyła się legenda, że wojewoda Tarło, gdy jego jedyna córka zwróciła swe sentymenta do urodziwego pokojowca nie szlachcica, kazał ją żywcem zamurować, lecz aby uniknąć zarzutu, że córce żałuje wiana, przed nią postawił stół i zasypał złotem. Legenda ta się nie dała stwierdzić, bo w wiele lat później, gdy Dębno już było w innych rękach, zwiedzałem zamek, gdzie się urodziła i wychowała moja matka. W owej baszcie wyrwane były sklepienia i podłogi, ale złota nie znaleziono. W jednym tylko pokoju zastaliśmy tych samych dwóch krawców, którzy za lat dziecinnych mej matki zawsze tam szyli liberyę dla lokai i stangretów.

Lecz wróćmy do emigrantów; otóż w tych kryjówkach, stary kamerdyner i klucznik zarazem, Paszkiewicz umiał zawsze ukryć niepaszportowanych gości, gdy przybywał komisarz z landsdragonem lub żołnierzami na rewizyę. Były także dwa pokoje gościnne, mające wspólny kamyczkowy piec, na dość wysokich nóżkach stojący. Otóż Paszkiewicz otwierał tak długo i głośno drzwi jednego pokoju, że emigranci pod piec przesuwali się tymczasem do drugiego pokoju, a gdy otwierał drzwi sąsiednie, przesuwali się emigranci znów w przeciwnym kierunku.

Powstańcy 1831 r. przynieśli z obozów wiele romantycznego ducha, pisali wiersze w albumach i śpiewali pieśni patryotyczne i sentymentalne. Było też wiele związków małżeńskich z emigrantami w Galicyi, a i w zamku w Dębnie dwa odbyły się podówczas wesela, gdy Konstancya Wykowska poślubiła powstańca ze Żmudzi Szlagiera, a Teofila Spławska Polanowskiego z Wołynia.

Nastrój romantyczny i rycerski emigracyi zmienił się, gdy dawni emigranci powracali z Francyi, bądź to do partyzantki w r. 1833, bądź jako emisaryusze centralizacyi wersalskiej po r. 1836. Mieli oni już inne idee, przebie-

rali się za Węgrów z towarami, Górali i druciarzy, szli do karczem i sypali na stół garść pszenicy, tłomacząc włościanom, że »czarno ubrani« to kąkol i należy czernidło wyplenić, aby została złota pszenica — lud biały.

Wiadomo jakie w lat dziesięć zeszło z tego posiewu żniwo.

Z karczem nawracali do dworów, bo bez pomocy dworu trudno było się ostać, i znajdowali tam nieraz, co dziwnem, posłuch dla swych krwawych teoryi ratowania Polski przez zgubę szlachty.

— Od Biały po Tarnopol zostawimy przy życiu tylko dwóch szlachciców, mówił zagorzalec przy dobrem śniadaniu we dworze, i wymienił nazwiska tych szczęśliwych wyjątków.

— Zanim mnie pan każesz zarznąć lub powiesić, proszę za drzwi — powiedziała moja babka, lecz nie zawsze taką emisaryusze otrzymywali odpowiedź.

Mieli oni wygodną stacyę i kwaterę w Pierzchowcu u pana Ludwika Kępińskiego. Zdarzyło się, że gdy odbywało się w tym dworze zebranie emisaryuszów, wpadła wojskowa rewizya z Bochni. Spiskowi goście uciekli przez okna do ogrodu, a stamtąd przez Rabę wydobyli się z pościgu, lecz w Pierzchowcu rewizya znalazła papiery i przebrania emisaryuszów. Z tem *corpus delicti* zabrano gospodarza domu, który też nie powrócił do Pierzchowca, aż po 18 latach więzienia w fortecy w Spilbergu. Pan Ludwik Kępiński o bardzo szlachetnej postaci, w długoletniem więzieniu przywykł do milczenia. Za powrotem otoczyło go ogólne współczucie i cześć sąsiadów, a choć chętnie się udzielał, zwykle milczał.

Zwolna nadciągają burze, a obok zewnętrzych wpływów, bywają przyczyny wewnętrzne przewrotów i katastrof.

Na szeroką gościnność w zamku Dębnie, na to patryarchalne jednoczenie wkoło ogniska domowego wszyst-

kich, co nie mieli swego dachu, nawet na to hojne rozdawanie złota i srebra między rezydentów i służbę, byłoby wystarczyło przy dobrym zarządzie znacznej fortuny. Przyczyną ruiny było oddanie majątku synowi, który w kilku latach na karty i aktorki sprzedał Okocim i Rosenbark.

Państwo Spławscy w sędziwym wieku przenieść się musieli z Dębna i przyjąć przytułek w Sufczynie, który nabył syn z pierwszego małżeństwa, Ksawery Wykowski, słynny swego czasu gospodarz i hodowca koni.

Bolesnym jednak był ten majątkowy upadek i smutne ostatnie lata, zakończone katastrofą w r. 1846. I znów powtórzyła się podobnie tragiczna scena, jak w dworze piotrkowskim. Jak tam obłąkana staruszka padła trupem na widok cepów i kos, tak w Sufczynie pani ze Starzeńskich Spławska zakończyła nagle żywot pod strasznym wrażeniem napadu bandy rozbójniczej.

* * *

Pierwszem pytaniem chrześcianina: dokąd dążymy — ale jeśli przed nami jest ten zaświat wieczysty i cel najwyższy, wrodzony duszy a objawieniem utwierdzony — to budzi się w duszy ludzkiej częstokroć pytanie niewyraźne: skąd idziemy? Nieraz broniłem się od tego pytania, zwłaszcza w młodzieńczych latach, lękając się mamideł metampsychozy, lub gorszych jeszcze błędzików panteistycznych, jakoby człowiek i jego dusza była chwilową tylko emanacyą, tylko oderwaną iskierką wielkiego ogniska, do którego dąży, aby znów po chwilowej wędrówce w niem zatonąć na zawsze. Ilekroć jednak zatrzymało moją myśl prawdziwe piękno, czy natury, czy literatury lub sztuki, zdawało mi się, że powracam do dawno gdzieś widzianych obrazów: ilekroć usłyszałem wielką, przekonywającą i wstrząsającą moim jestestwem prawdę lub odgadłem sercem coś prawdziwie dobrego, zdawało

mi się znów, że tę prawdę i dobro noszę oddawna zapisane w duszy, że je witam jako starych znajomych z jakiegoś zaświatu, który już jest poza mną, ale dobrze mi znany. Niewiem czy to uczucie wewnętrzne bywa wyjątkowem i indywidualnem, czy jest ogólnym objawem psychologicznym. Dusza ludzka nie jest białą kartą, ma ona pierwiastki wrodzone, wszczepione ręką Stwórcy. Piękno, dobro i prawda, to tylko trzy struny tej arfy, które się odzywają i wydają tony za potrąceniem wrażeń zewnętrznych. Są w tej arfie niestety i inne struny, które brzęczą pokusą, huczą namiętnością — struny brzydoty, zła i kłamu, na jakich gra duch ciemności. Tamto jest promieniem z dzieła stworzenia, jest głosem sumienia, dalekiem echem pierwotnego objawienia, łaską spływającą z sakramentu chrztu, jakby kluczem złożonym w skarbnicę duszy do najwyższych tajemnic. Te znów dysonanse są spadkiem pierwotnych rodziców i ich upadku. Każdy człowiek przynosi z sobą najszerszą skalę etyczną; jest zdolnym wznieść się po nad naturę, dorównać świętym i aniołom, lub spaść w przepaść niżej natury, niżej zwierzęcia; i ta szeroka skala moralna jest właściwą każdemu człowiekowi, gdy równie szeroka skala uzdolnienia, od kretyna do geniusza, jest znów właściwością indywidualną, nie w równej rozdzieloną ludziom mierze.

Niech mi wybaczy czytelnik ten wstęp nieco mglisty do wspomnień z lat dziecinnych i młodzieńczych. Nasunął on się pod pióro, gdy rozważałem pytanie, gdzie leży granica między pamięcią osobistą a tą władzą tajemną, którąbym nazwał wzrokiem zwróconym w przeszłość. Jak nigdy chwycić nie można chwili, w której położywszy się do łóżka zasypiamy, kiedy ustaje myśl na jawie a zaczyna się sen: równie trudno, niemal niepodobna z dziecinnych wspomnień naznaczyć punkt ten, po który sięga pamięć dziecięca, od tych obrazów przeszłości, które jej działanie poprzedziły. One są równie naszą

własnością, bo tkwią na dnie duszy, krążą w naszych żyłach, wyssane były z mlekiem matki, spuścizną przodków, jakimś duchowym atawizmem złożyły się na naszą indywidualność. Inaczej wytłomaczyć trudno wrodzonego patryotyzmu, uczuć religijnych, poczucia piękna, tradycyi rodowych i nastroju kulturalnego, zgoła tego wszystkiego, cośmy odziedziczyli bezwiednie.

Nie pamiętam mego ojca, a widzę go ciągle przed sobą, i czuję go ponad sobą, choć liczyłem zaledwie pięć miesięcy, gdy go straciłem. Pamięć ojca była mi tak wrodzoną, że jego obecność czułem przez całe życie, zwłaszcza w stanowczych tego życia chwilach. Doznawałem nieraz jego opiekuńczego tchnienia, które dodawało mocy i męstwa wśród przeciwności i walk. Czy godzi się takie uczucie tłomaczyć aktem wiary »o świętych obcowaniu«, że węzły duchowe między tymi co zmarli a żyjącymi są ciągłe i realne, choć niewidzialne.

Mój ojciec urodził się w Zakrzowie w r. 1813, podczas wielkiej powodzi; matkę jego z łóżkiem i z nowonarodzonem dzieckiem przeniesiono do nowego dworu, ze starego domu, który w pół godziny później powódź i wezbrane wody Dunajca zabrały. Dwór ten nowy zbudowała babka, pani jenerałowa Dębicka, żyjąca jeszcze i mieszkająca wraz z synem Karolem i synową Kunegundą z Ujejskich

Dziadostwo moi zmieniali w różnych porach roku pobyt, to w Świerczkowie, w Zakrzowie, to znów w Radlnej. Tu przypomina się znów anegdota, którą słyszałem dzieckiem od starego kucharza Wojciecha. Ilekroć państwo zjechali z Zakrzowa do Radlnej — zaraz po nocach zaczęły niepokoić strachy — pojawiały się białe postacie, ziejące ogniem i brzęczące łańcuchami. Mój dziad, choć kalwin, sprowadził proboszcza, aby dom poświęcił. Niosłem, opowiadał kucharz Wojciech, wodę święconą za księdzem, a chłopak kredensowy niósł kropidło, gdy na-

gle, idąc za księdzem, obaj dostajemy oblewane policzki od niewidzialnej ręki. Dziwny to dyabeł, co się nie boi święconej wody, rzekł pan, i gdy poświęcenie domu nie pomogło, a białe postacie z ogniem i łańcuchami ponowiły się znów o północy, pan wypadł z charapem i zaczął owe strachy okładać. Cóż się pokazało? Był to ekonom i szafarka, którzy, chcąc się pozbyć państwa, aby lepiej mogli ich krzywdzić, urządzali owe strachy ilekroć państwo zjeżdżali do Radlnej. Ów charap okazał się skuteczniejszy na takie strachy, aniżeli święcona woda.

Państwo Karolowie mieli liczne potomstwo, ale z szesnaściorga dzieci uchowało się tylko trzech synów i trzy córki do dorosłego wieku, a z tych syn i córka mieli paść pod kosami chłopów w r. 1846.

W chwili wybuchu listopadowego powstania, mój ojciec kończył gimnazyum w Tarnowie, gdzie wraz z młodszym bratem Ignacym mieszkał z guwernerem Michałem Starzewskim. Za zezwoleniem i błogosławieństwem rodziców, nie bez łez matki przy pożegnaniu, na pierwszą wieść wyprawił się za Wisłę, a Starzewski mu towarzyszył. Wiek 17 lat był ogólnie postawioną granicą dla ochotników powstania. Młodszy dwa lata brat Ignacy musiał, nie bez wielkiego żalu, powrócić do Zakrzowa.

Guwerner mego ojca i towarzysz w powstaniu, Starzewski, znany bardzo w późniejszym wieku w Krakowie jako mistrz w sztuce fechtunku, uczył mnie i pragnął uczyć jeszcze mego syna rycerskiej szermierki. Zmarł w 90-tym roku życia, do końca krzepki i świeżego umysłu; umiał wiele opowiadać o Zakrzowie i o kampanii.

W Warszawie zaciągnął się mój ojciec do drugiego pułku ułanów, którym dowodził Michał Mycielski. Pierwszy ogień w batalii pod Ostrołęką i wypadek zdarzył, że mój ojciec stał w pobliżu, gdy padł jenerał Kicki. Mój ojciec pierwszy poskoczył do rannego, który mu wręczył jakieś pamiątki dla swej świeżo poślubionej dru-

giej żony z domu Biszping, i za chwilę wyzionął ducha. Nazajutrz za zezwoleniem oficerów mój ojciec wręczył te pamiątki jenerałowej i opowiadał ostatnie jego chwile; pozostał też młody ułan pod wrażeniem piękności wdowy jenerała. W Warszawie brzmiały dwa hasła: za Bug i nad Niemen! Gdy wreście naczelny wódz dozwolił na wyprawę litewską, jenerał Dembiński werbował na ochotnika żołnierzy z wszystkich pułków. Mój ojciec był między tymi ochotnikami i odbył tę litewską wyprawę, pełną niebezpieczeństw i trudów. Zwłaszcza słynnym jest u strategików odwrót Dembińskiego z Litwy. Ciągle mając armię Dybicza na karku, powrócił Dembiński nie jako zwyciężony, i witany był w Warszawie jako zwycięzca. Powrót Dembińskiego do stolicy był zwłaszcza przeciwieństwem przejścia granicy przez Giełguda. Mój ojciec, jak wszyscy uczestnicy tej wyprawy, otrzymał od naczelnego wodza dyplom z napisem: Ludwik Dębicki dobrze się zasłużył ojczyźnie, i niebawem mimo młodzieńczego wieku stopień porucznika i krzyż *virtuti militari*.

Całą tę kampanię jako prosty żołnierz odbył w jednej trójce z krewnym Wincentym Rogalińskim i przyjacielem Janem Jędrzejowiczem.

Z opowiadań, które słyszałem z ust mojej matki, zostały wspomnienia potyczek, wielkich trudów, które 17-letniego młodzieńca przyprawiły o febrę i wycieńczenie, wielkiej gościnności we dworze państwa Karpiów, gdzie podejmywano z entuzyazmem całe oddziały powstańcze, i tryumfalnego powitania przez ludność Warszawy. Gdy dziad był jenerałem za Stanisława Augusta, stryj majorem napoleońskim, mój ojciec odbył kampanię jako żołnierz, a skończył na randze porucznika, i na tem się przerywa służba wojskowa w naszym rodzie.

W lat dziewięć po kampanii poślubił mój ojciec w Liplasie Celinę Slaską, pasierbicę swego stryja, ma-

jora Dębickiego. Związek szczerej miłości miał trwać tylko lat cztery. Nie wystarczyło to nawet na podjęcie zadań obywatelskich i gospodarczych. Ze znacznej fortuny rodzicielskiej nie wiele zostało, nietylko skutkiem podziałów familijnych, ale skutkiem niedbałej czy niesumiennej opieki. Dobra Swierczków z Białą i wieś Mikołajowice przeszły na własność książąt Sanguszków, starą siedzibę Zakrzów nabył krewny Władysław Dąmbski z Wojnicza, Radlnę tylko oddano siostrze mego ojca, Stefanii z Dębickich Kępińskiej. Natomiast wiano mojej matki, Piotrkowice i Bachcice nad Białą, wystarczało na rękojmię materyalną tego szczęścia dusz, które zajaśniało nowożeńcom, a miało zgasnąć tak szybko. Kilkodniowa choroba obaliła silny organizm w trzydziestym roku życia i osierociła dwudziestoletnią wdowę z dwojgiem drobnych dzieci.

Po chwilach gwałtownej rozpaczy miał się rozpocząć długi żywot wdowiej żałoby, walki i trosk. Przy zwłokach męża wdowa poprzysięgła, że w drugi węzeł małżeński nie wejdzie, jej młodość pomnażała strach przed długą samotnością, postanowiła więc szukać towarzyszki dalszego życia. Po kilku próbach znalazła młodą osobę, pannę Kunegundę Bielańską, z którą zamieniła pierścionki, uzyskawszy od jej rodziny zgodę na te śluby dozgonnej, nierozdzielnej przyjaźni. Sześćdziesiąt lat już dobiega, gdy to wspólne pożycie dwóch przyjaciółek nie przerwało się na dzień jeden, z wyjątkiem roku spędzonego w więzieniu. Świat nie dowierzał zrazu trwałości przyjaźni dwóch młodych osób, owe śluby dozgonnej przyjaźni brał za ekscentryczność. Dziwnie dobrały się te dwie dusze i dwa charaktery, na pozór bardzo odmienne jak różne postacią. Od lat niemowlęcych ja i moja siostra Wanda o półtora roku starsza, zjednoczyliśmy w naszych sercach dziecięcą miłość do tych dwóch istot, z których rodzona matka, więcej męzkiego charakteru

posiadająca, zastępywała ojca a jej przyjaciółka otoczyła nas najtroskliwszą opieką macierzyńską. Nie było też różnicy w naszem przywiązaniu, jak jej niema do dziś w synowskiej wdzięczności.

Dziecięce lata pełne tragicznych wypadków, jak młodość miała być smętną. Pierwsze niewyraźne wspomnienia mgłą zasłonięte, to napad chłopów w dniach lutowych 1846 r. Wrażenie musiało być wstrząsającem, skoro trzechletni chłopiec, nie umiejący dotąd mówić — pierwszy raz odezwałem się w czasie napadu, jak mi matka opowiada, donośnym głosem: chłopi, nie zabijajcie mamy..!

Zdaje mi się, że widzę i pamiętam tę chwilę, może to tylko skutek częstych o niej słyszanych opowiadań.

Rzeź tarnowska, choć trwała tylko trzy dni, miała przesłanki w polityce biurokratycznej, trwającej od zaboru Galicyi przez lat siedemdziesiąt, i w ruchu emisaryuszów emigracyjnych, trwającym lat dziesięć. Cała organizacya stosunków poddańczych w Galicyi, patentami józefińskimi określonych, i rozwijana konsekwentna polityka biurokracyi obcej miała za hasło: *divide et impera*. Patenta Józefa II i prawa zwane urbarialnemi nie przyniosły żadnych ulg dla włościan w stosunku pańszczyznianym. Chłop po dawnemu był *glebae adscriptus* a można było zbiega sprowadzać do wsi, osadzać na gruncie i zmuszać do odrobku. Przybyły nowe ciężary, nieznane za Rzeczypospolitej, rekrutacya do wojska i zwiększone podatki. Jedno i drugie wykazywał nie rząd przez swoje organa, ale zarówno pobór podatkowy jak pobór rekruta, wykazywał pan we dworze przez swego mandataryusza, który atoli łączył charakter prywatnego oficyalisty z urzędową zależnością od »Kreishauptmana«. Ta dwoistość instytucyi mandataryuszów sprawiała, że był to ajent rządowy z typem policyanta, a płatny przez właściciela wsi. Wszystkie *odia* nietylko pańszczyzniane, ale dla ludu tem

dotkliwsze, że dawniej nie były znane, spadały na dwór, a pojęcie rządu cesarskiego było osłonione urokiem mistycznym, jak pojęcie Opatrzności, która czuwała nad włościanami, szkoda tylko, że z daleka, według przysłowia, które stało się ludowem, »Bóg wysoko, a cesarz daleko«. Mandataryusz otrzymywał poufne instrukcye w starostwie, a wobec włościan był tylko zastępcą i sługą właściciela. Tak więc dwór i pan służył za parawan do zasłonięcia uciążliwości rządowych i za kleszcze do wyciągania z ognia kasztanów. Nadto mandataryusz miał jurysdykcyę sędziego pierwszej instancyi, nadzór policyjny, a stąd nowe *odium* na dwór. Obok mandataryusza, ekonom w Galicyi był odmiennym typem, miał on wszystkie tradycye batożenia chłopa, od których go nie powstrzymywały nowe dotkryny liberalno-demokratyczne, a nawet wręcz socyalistyczne, zaszczepione przez emisaryuszów. Wpływ spiskowców, miasto ująć srogości ekonomowi, stworzył w jego głowie taki chaos, że stał on się wrogiem chlebodawcy szlachcica, a nie przestał być ciemiężycielem chłopa.

Jak nie mieliśmy wierzyć, — mówił jeden z kmieci bocheńskich, — że Polacy będą mordować chłopów, kiedy ekonom na polu nam się odgrażał: »poczekajcie chamy jak będzie Polska, to krew chamska każdą popłynie bruzdą«.

W głowie ekonomskiej idee teroryzmu rewolucyjnego, przyniesione z Francyi, w takie przeradzały się dziwaczne potworności.

Dziwniejsze jeszcze psychologiczne objawy wywoływała emigracyjna demagogia, gdy nią zarażeni zostali sami szlachcice. I tak we dworze Szczepanowice pod Tarnowem, będącym odwiecznie w posiadaniu rodziny Chrząstowskich, urządzono na rok przed katastrofą słynny na całą okolicę obrzynek. Bratali się tam panowie z chłopami jak w *Weselu* Wyspiańskiego, ale panowie upojeni

byli ideą rewolucyi ludowej do tego stopnia, że po tańcach przy uczcie propagowali włościanom idee wyczytane w »Prawdach żywotnych« i innych duchem komunizmu tchnących pismach emigracyjnych. Nauka nie poszła w las, nie minął rok, a ci sami uczestnicy obrzynku wymordowali kilkunastu surdutowych we dworze szczepanowskim, krew zabarwiła białe sukmany, i padło w tej rzezi trzech członków rodziny Chrząstowskich. Jeden tylko, ostatni ze starego kalwińskiego rodu, został przy życiu Roman Chrząstowski, później właściciel Buczyna.

Obrzynek w Szczepanowicach nie był wyjątkowym objawem tej gorączki, jaka zapanowała w niektórych dworach pod wpływem propagandy członków centralizacyi wersalskiej.

Propaganda trwająca od roku 1836, skrystalizowała się w roku 1845 w spisek. Jednem z głównych ognisk spisku był słynny w gościnności Wojnicz Dąmbskich. Był to dom w swoim rodzaju jedyny w kraju. Kto chciałby opisać historyę Galicyi, Wojnicza pominąć nie może. Przez lat pięćdziesiąt, wszystko przez ten gościnny dom przepływało, co chwila przynosiła; w epokach rewolucyjno-patryotycznych powstańcy i spiskowcy mieli tu swoje obozowisko i główną kwaterę, w późniejszych czasach reakcyi spotykano znów w Wojniczu urzędników i wojskowych. Najwięksi panowie i panie z arystokracyi zasiadali częstokroć do jednego stołu z najczerwieńszymi demokratami. W rodzinie gospodarstwa wszystkie opinie miały swoich przedstawicieli: konserwatyzm i tradycye przedstawiała matka gospodarza, pani Salomea z Jordanów Dąmbska, dama wielkiego tonu i powagi; synowa, rozumna i urocza Joanna Władysławowa Dąmbska, także Jordanówna z domu, reprezentowała gorący patryotyzm i egzaltacyę, którą powiększała bezdzietność. *Cherchez la femme*, jeśli kiedy, to tutaj powtórzyć trzeba, kiedy chodzi o politykę wyobraźni, o nasze paroxyzmy powraca-

jące co lat kilkanaście. Kobieta owej epoki w Polsce należy do zaginionego już dziś typu *femme incomprises* Niezrozumiana, a na odwrót rozumiejąca i odgadująca każdy odcień uczucia, każdy poryw męskiej duszy, otoczona aureolą anielskości, daje natchnienia i odczuwa zarazem prądy chwili. Ona będzie Beatryczą dla poety i artysty, i Egeryą dla tych, co polityczne podejmą zadania, im bardziej niebezpieczne, tem więcej urocze. Taką jest Idalja w »Niepoprawnych« Słowackiego, ale o wiele piękniejsza w rzeczywistości była pani Delfina Potocka, a rodzaj ten *des femmes incomprises* z wielkiemi odmianami indywidualnemi, spotykamy w owej epoce w różnych sferach i różnych ogniskach życia polskiego. Dość przypomnieć panią Calergi, która od muzyki przechodzi do polityki, lub urokiem swego wpływu nawraca innowierców do katolicyzmu. Odmienna a jednak bardzo pokrewna natura i postać, to księżna Marcelina Czartoryska. Do tego samego typu zaliczyliśmy panią Joannę Dąmbską, choć nieznaną w wielkich stolicach Europy, jak tamte, ale równą im podniosłością duszy, darem rozumienia i uroczego wpływu, który oddziałał na całe grono przesuwających się przez Wojnicz młodych marzycieli. Mąż pani Joanny, Władysław Dąmbski, należał do tych ludzi, których dom i kieszeń otwarta dla wszystkich bez rozróżniania, byle było w domu wesoło i pełno. Na częstych uroczystościach krążyły gęsto kielichy, nie bez zbyt silnej zachęty gospodarza. Było także w tym dworze wielu krewnych i rezydentów, stale przemieszkujących. Siostra gospodarza, Wanda hr. Bobrowska, łączyła z urodą żywość usposobienia i wielką obrotność w zarządzie fortuną.

Otóż w Wojniczu spotykamy przed rokiem 1846 dwóch braci Jordanów, Władysława i Zygmunta, bliskich krewnych gospodyni domu. Byli to naówczas młodzieńcy budzący wielkie nadzieje. W spisku odgry-

wali pierwszorzędną rolę, ale reprezentowali kierunek czysto narodowy, bez przymieszki socyalistycznej. Hr. Adolf Bobrowski, ożeniony z Dąmbską, właściciel Grojca pod Oświęcimem, należał także do czynnych, gorących lecz najszlachetniejszych. Do umiarkowanych zaliczali się wysłańcy z Wielkopolski, Brudzewski i Barwiński. Natomiast częsty w Wojniczu gość, Edward Dębowski, syn kasztelana Królestwa Polskiego, urodzony w Puławach, autor historyi literatury polskiej, wbrew tradycyom rodowym był fanatykiem w nienawiści do szlachty, czy też krańcowej chłopomanii. Był to mistrz w sztuce konspiratorskiej. Zwykle cichy i milczący, ze spuszczonemi oczami, które zakrywały okulary, o długich blond włosach płasko zaczesanych, które w razie potrzeby zakrywał czarną peruką, na pozór zimny, był typem konspiratora. Przerzucał on się z łatwością z jednego końca kraju w inny, z salonu do karczmy, zmieniał z łatwością postać i propagował wielkie ludowe powstanie, w którem szlachta ma pójść na holokost za dawne swoje historyczne grzechy. Dębowski tajemniczością swej postaci wywierał wielki urok na kobiety, fanatyzował młodzież, umiał przemawiać do ludu.

W dniach lutowych, gdy zwożono trupów przed gmach starostwa w Tarnowie, jedna z pań poznała Edwarda Dębowskiego, gdy w przebraniu Rumuna, kupca na woły, wsiadał do wozu pocztowego, a na widok ofiar zamordowanych zawołał: to dobrze, krew się leje, z tego wypłynie Polska. W dni kilka później, przybywszy do Krakowa, w odezwie rewolucyjnej napisał: »jeszcze nie dość nasz poczciwy ludek mści się na exszlachcie — ludu polski, ktoby ciebie przymuszał do pańszczyzny, możesz go zabić«.

Z Krakowa poprowadził Dębowski młódzież uniwersytecką w celu połączenia się z ludem, zawsze w tej idei, że po wylaniu krwi szlacheckiej pójdzie lud wal-

czyć z wrogiem za Polskę. Na moście Podgórskim dziwnej tej procesyi zastąpiło drogę wojsko austryackie pod wodzą jenerała Colina, który, jak wiadomo, dwa dni przedtem uciekł z Krakowa, czy wyniósł się umyślnie, aby zostawić miasto na pastwę anarchii i dostarczyć powodu do inkorporacyi wolnego miasta do Galicyi. Na tym moście podgórskim padł Edward Dębowski, niosąc krzyż, padł od kuli.

Dziwne zaiste sprzeczności bohaterstwa i poświęcenia ze zbrodniczym szałem budzą w duszach polskich katusze niewoli. Najdziwniejszym atoli był ów szał samobójczy, z jakim synowie starych rodów wiedli do przepaści, gdzie dla błędnej idei zanika instynkt własnej konserwacyi.

Spisek, jak mówiłem, przybrał formę tajnego rządu. Wielkorządcami Galicyi ogłoszono dwóch braci, hrabiów Wiesiołowskich. Pamiętam ich jeszcze z lat dziecinnych. Byli to ludzie zamożni, spokrewnieni z pierwszą arystokracyą, przez matkę Swidzińską, siostrzenicę Franciszki Krasińskiej, królewiczównej saskiej. Starszy brat poślubił hr. Reyównę, młodszy kochał hr. Mierównę. Obaj bracia odznaczali się dowcipem nieco sarkastycznym, w gruncie były to głowy mierne; nie sądzę aby sama ambicya wielkorządzctwa nimi kierowała, w przyjęciu tak wielkiej odpowiedzialności, której nie pojęli i której też nie sprostali ani przed wybuchem, ani następnie w czasie indagacyi więziennej, gdzie wielu obywateli pokompromitowali, chcąc spiskowi nadać charakter ogólny, i tem samem jakoby jego sławę ratować. Wiesiołowscy wywierali silny nacisk przy wciąganiu do spisku. Gdy Franciszek szwagra swego Stanisława Stojowskiego z Dąbrowy do spisku namówić nie mógł, zaczął mu wyrzucać skąpstwo. Stojowski wyjął plik banknotów i wrzucił do palącego się ognia na kominie, mó-

wiąc: »nie o pieniądze i nie o życie mi chodzi, ale nie chcę do szaleństwa i nieszczęścia przykładać ręki«.

Stojowski mimo swego oporu pobity przez chłopów, wtrącony potem został do więzienia, a zamek w Dąbrowie, będący jego naówczas własnością, spalony przez żołnierzy.

Takich, coby opierali się namowom, było mało. Jedyny głos z ostrzeżeniem: »Psalmy przyszłości« Krasińskiego, lubo krążyły po kraju, nikomu nie zdołały otworzyć oczu. Nie wierzono jasnowidzeniu wieszcza, ale wierzono, że w armii jest propaganda i wojsko przejdzie na stronę powstania, że lud wiejski pójdzie jak za Kościuszkowskiego powstania pod nowym Głowackim, wierzono zwłaszcza w ogólną rewolucyę uciśnionych ludów, w narodów zbratanie i nową jutrzenkę wolności. Opowiadano nawet o zbrojnych oddziałach, kryjących się w górach Karpackich, zupełnie jak w owej baśni ludowej o zaklętych rycerzach.

Plany te i złudzenia snuło się przy kielichach, a nie rzadko i przy zielonych stolikach. Bardzo rozpowszechnione naówczas karciarstwo łączyło się z grą *va banque* szalonej konspiracyi. A hulanki i narady odbywały się w hotelu Krakowskim w Tarnowie naprzeciw starostwa, gdzie czuwał starosta Breindl. Oczywiście, że rząd był wybornie naprzód o wszystkiem informowany, tylko donosiciele powiększali rozmiary ruchu i wśród biurokracyi niemieckiej panował popłoch, którym usprawiedliwiała następnie niecne środki ludowej ochrony przeciw oczekiwanemu wybuchowi.

Stary arcyksiążę Ferdynand, niefortunny wódz z r. 1809 w wojnie z księciem Józefem, obecnie namiestnik Galicyi, w przejeździe ze Lwowa do Wiednia odwiedził księcia Władysława Sanguszkę w Gumniskach, i po obiedzie rozpoczął z nim poufną rozmowę, że w obec przygotowującej się rewolucyi rząd cesarski nie

będzie mógł poskromić namiętności ludowych, jeśli one objawią się w kierunku rządowym. I dodał z naciskiem: *c'est toujours triste quand le gouvernement se trouve isolé en tête a tête avec la masse de population.* Widocznie słowa arcyksięcia były echem planów Kriega, który pod jego imieniem prowadził rządy w najprzewrotniejszym systemie.

Książę Sanguszko, który mi tę rozmowę opowiadał, przerażony tą groźbą, pospieszył do Wiednia i udzielił swych obaw hr. Alfredowi Potockiemu, który znów zakomunikował je księciu Metternichowi, kanclerzowi państwa. Metternich wezwał przez landsdragona Sanguszkę do swego gabinetu, wypytywał o stan kraju, widocznie obcym był planom Kriega i mocno nimi zaniepokojony, wysłał osobnego kuryera do Lwowa. Ówczesna biurokracya rządziła samowładnie w każdym kraju, i był to rodzaj federalizmu despotycznego a raczej rządów prokonsularnych, jak w imperyum rzymskiem. Nawet finansowo była tu zupełna odrębność i corocznie gubernator, po opędzeniu wydatków z dochodów, resztę odwoził do Wiednia do skarbu cesarskiego. Brak kolei i telegrafów ułatwiał pewien federalizm biurokratyczny. Widocznie że i polityczne machinacye podejmowano na własną rękę. Z drugiej strony atoli przyznać należy, że zasada *divide et impera*, poruszanie namiętności ludowych, waśń warstw społecznych i narodowych, należały do politycznych arkanów biurokracyi austryackiej od dawna we wszystkich krajach koronnych. Nie potrzeba sięgać do Albigensów ani do Bauernkrieg w Niemczech po reformacyi, bo precedensa ruchów chłopskich w różnych krajach rzeszy rakuskiej powtarzały się kilkakrotnie, zwłaszcza na Węgrzech. Nigdzie atoli nie przybrały tych rozmiarów, co w naszym kraju. Galicya, jako nowszy nabytek, była tak rządzoną, jak gdyby była do pozbycia przy pierwszej sposobności, bo tego domagała się

pamięć skrupułów cesarzowej Maryi Teresy w czasie pierwszego rozbioru Polski. Z wyjątkiem ks. Lobkowica w r. 1831, i hr. Stadiona w r. 1848, wszyscy gubernatorowie Galicyi rządzili jak w żydowskiej dzierżawie na chwilowy wyzysk i z intencyą materyalnej ruiny i moralnego rozstroju. Takie też dobierali sobie organa podwładne, pełne niechęci, złej woli, połączonej z niedołęstwem.

Zdaniem księcia Sanguszki kanclerz Metternich nie był wtajemniczony w uknute wśród galicyjskiej biurokracyi plany chłopskiego ruchu przeciw zamierzonej rewolucyi. Krieg w swych raportach nie donosił o przygotowującem się powstaniu i nie żądał wzmocnienia załóg wojskowych. Brał on wszystko na swoją rękę, i dawał *carte blanche* podwładnym organom do użycia takich środków stłumienia ruchu, jakie uznają za stosowne. Odpowiedzialność więc spadała wprost na »Kreishauptmanów«, a wiadomo jak się tu odznaczyli niegodziwą gorliwością Breindl w Tarnowie i Berndt w Bochni. Inaczej znalazł się w Nowym Sączu starosta, a zwłaszcza starosta w Rzeszowie, który wysłał komisarza Neussera dla powstrzymania zaburzeń chłopskich. Neusser w każdej wsi kazał przywołać wójta i starszyznę, zagroził gminie ciężkiemi plagami, gdyby komu włos spadł z głowy. Droga, jaką przejechał Neusser, oznacza granicę gdzie się rzeź zatrzymała. Wszystko to dowodzi, że urzędnicy działali na ochotnika i własną odpowiedzialność.

Na rząd centralny spadła atoli ta, nie dająca się zmazać plama, że *post factum* przyjął za dokonaną zbrodnię moralną odpowiedzialność wobec całej Europy i wobec historyi. Żadnego mordu ani rabunku nie dochodzono, nie karano, na wszelkie skargi i żądania restytucyi odpowiadano negatywnie słowem *Kriegszeit*. Lubo Breindla przeniesiono do Gracu a Szelę na Bukowinę, obu tych dwóch hersztów odszczególniono orderami, a Szeli nadano w nagrodę grunta. Co więcej, szczycono się jakby

pięknem zwycięstwem, a portret Szeli kazał zawiesić ks. Metternich w swym pałacu Königswarten w Czechach wraz z godłami cepów i kos, jakby wojennych trofeów. To już więcej niż cynizm, to nikczemność i przechwałka ze zbrodni, jakiej równej trudno szukać wśród gwałtów i prześladowań dwóch innych zaborczych mocarstw.

* * *

Wróćmy do dworu mej matki w Piotrkowicach. Na kilka dni poprzednio przyjechał jeden z sąsiadów, mający w spisku pewne dygnitarstwo, z wezwaniem czy przedstawieniem, aby moja matka ogłosiła wójtom swych wsi, że darowuje pańszczyznę.

Wezwanie odpowiadało usposobieniu młodej i szlachetnej kobiety, dokonała więc aktu darowizny nie bez obaw o przyszłość, ale z poczucia, że pańszczyzna jest krzywdą, a jej zniesienie jest dobrym uczynkiem chrześcijańskim i polskim. Oświadczenie mej matki przyjęli wójtowie i starszyzna w milczeniu, bez podziękowania.

Nastąpiły dnie ponure, śnieżnych zawiei, mrozu i wichrów, podniecających złowrogie przeczucia. W noc takiej zawiei, 17 lutego, co było mężczyzn wkoło dworu, dzierżawca Bucherz, rządca, ekonom, pisarz i kilku lokai, wyruszyło gdzieś według danego sobie przez spiskowych rozkazu na miejsce zebrania, pod górę św. Marcina. Wśród nich był brat przyjaciółki mej matki, Henryk Bielański. Pozostały w domu same kobiety, a zebranie było liczne krewnych i przyjaciółek. Spędzono noc na modlitwie, gdy ktoś zapukał do drzwi; był to mężczyzna nieznany, p. Dulęba, który jak i inni wyruszył pod górę św. Marcina, ale gdy tam nie zapalono umówionego hasła, sprzysiężeni zdążający z różnych stron błąkali się wśród nocy i zamieci, i zgromadzić się razem nie mogli. Trwogę zebranych niewiast pomnożył jeszcze

ten przybysz, który przed świtem znów ku Tarnowu wyjechał.

Zrana przybywa propinator, żyd Fatel; donosi on mojej matce, że bandy chłopów gromadzą się w jego karczmie i niebawem uderzą na dwór, że on ich zatrzymuje, ale ostrzega, żeby natychmiast uciekano ze dworu.

Dokąd uciekać? Ku Tarnowu niebezpiecznie, bo tam ma się rozegrać pierwsza potyczka, a na gościńcu, jak donosi propinator, pełno band chłopskich.

Jakby jakiemś przeczuciem tknięta, moja matka postanowiła schronić się do drugiego dworu w Bachcicach, który był w dzierżawie rodziny Bielańskich, a leżał po drugiej stronie rzeki Biały.

Nie było we dworze służby męskiej, bo wyruszyła do tej ruchawki, pozostał tylko mandataryusz, stary Gryzdarski, ale ten na wezwanie nie przybył, zostali tylko w stajniach furmani i fornale. Kilku z nich już piło w karczmie i gotowało się do rozboju, ale był jeden, który miał niebawem okazać poświęcenie, gotowość na śmierć w obronie swej pani, wielką przytomność umysłu. Był to furman Jan Gut, którego postać pozostała mi w pamięci, jak postać prawdziwego bohatera.

W mgnieniu oka na wezwanie mej matki zarządził zaprzężenie kilku sani, na które wsiadło dziewięć kobiet i nas dwoje małych dzieci.

Jak to bywa w lutym po silnym mrozie, zamieci i wichrach, nastąpiła nagła odwilż, tak że lód zaczął się łamać, przejazd przez rzekę Białę był niebezpieczny, i gdy dzięki przytomności umysłu woźnicy, przesunęły się sanie, lody potem się załamały i rzeka stanowiła zaporę dla band chłopskich, przygotowujących napad na Piotrkowice i dalszy pościg.

Zaledwie moja matka z całym swym orszakiem niewieścim stanęła przed gankiem w Bachcicach, a wnet stawił się tam wójt Jan Gawron i kilkunastu gospoda-

rzy. Nie przybyli oni tam w groźnej postawie, lecz ze słowami pociechy i otuchy.

— My tutaj straż trzymamy, byle z obcych wsi nie nadciągnęli rabusie.

Jakoż za chwilę przyciąga banda z Łowczowa, rodziny Tetmajerów w Tarnowie, pijana nietylko wódką ale i krwią, bo już tam pod cepami padło kilku surdutowych.

Wójt Gawron i furman Jan Gut stają obok mojej matki, biorą nas dzieci na ręce, i witają napastników perswazyą i groźbą.

— Patrzcie! same tu kobiety i dzieci, dajcie pokój, nie straszyć dzieciaków, my tu sami dopilnujemy.

Łowczowianie pienią się i wyją: czy te bestye zabić czy je poślepić — woła jeden. Był to dawny fornal z Piotrkowic, Kurzyk.

Inny wywija cepem po nad głową mojej matki, cep ten chwyta w powietrzu jedna z towarzyszek mojej matki, panna Konstancya Dębicka, i odwraca cios.

Dwóch ludzi stoi w naszej obronie, a tam napastników cała gromada. Z pośród tłumu wychyla się postać groźna o czarnych oczach i zaroście ciemnym, krzaczastych brwiach, w baraniej czapce na głowie, z widłami żelaznemi w ręku.

Ta sama panna Konstancya Dębicka, zwykle bardzo wesołego usposobienia, woła teraz z humorem, któryby Niemcy nazwali *Galgenhumor:* o! z tej czapy śmierć wyleci!

Groźna postać czarnego chłopa wysuwa się naprzód wołając: mnie do nich puśćcie! — staje przed moją matką, uderza żelaznemi widłami o podłogę i groźnym głosem woła: Mojej pani hrabinie włos z głowy nie spadnie! Ona mi podarowała krowę, drzewo z lasu, leczyła dzieci jak chorzały, jak mi zmarła żona, dała deski na trumnę, nie damy jej zbójom, ani jej dzieci!

Niespodziewany ten obrońca nazywał się Walenty Pol.

Duch wstąpił w grono niewiast. Gdy ich było już trzech w obronie, inni z Bachciczan do nich się przyłączyli, jak kowal Skrobot, i sędziwy dawny sługa dworski Więcek.

Mimo tej obrony napastnicy już nie osobom grożą, ale rozglądają się coby zrabować. Na piec wrzuciła jedna z pań jakąś kasetkę z kosztownościami, dostrzeżono ją i rzucono się na łup.

Zaczynają wołać: dajcie klucza, szkoda grata, i znów grożą siekierą, która nad głową mojej ciotki zabłysła. Nowe groźby, nowa wrzawa.

Wtedy to zawołałem: »chłopy, nie zabijajcie mamy!«

Słowa te miały znów Bachciczan podniecić do obrony, — dajcie pokój, nie straszcie dzieci, wynoście się z pokoju!

Wtem po za oknami odbywa się groźna scena, która w sercach zgromadzonych pań wznieca nowe przerażenie.

Odkryto schowanego gdzieś w spiżarni sędziwego p. Joachima Bielańskiego, ojca przyjaciółki mojej matki, i odkryto owego mandataryusza Grążewskiego, który się nie stawił na wezwanie mojej matki, a teraz nadjechał.

Obu związano i wrzucono skrępowanych na wozy. Jeden z Bachciczan wraca do pokoju i powiada: ja muszę jechać, żeby ratować pana Bielańskiego, niech panie będą spokojne, ja mu siądę na głowę, żeby mu głowę zasłonić, jeśli go będą bili. Jak rzekł tak dotrzymał, i dwie mile do Tarnowa jechał siedząc na głowie staruszka, który jednak otrzymał wiele cięgów, równie jak Grążewski, który znów mimo swej dwulicowej roli przybył do Tarnowa poraniony.

Ruszył wóz z dwoma skrępowanymi, a żona i córki p. Bielańskiego w rozpaczy, nie spodziewały się już ratunku mimo tej ochrony.

Banda łowczowska wreszcie ustąpiła. Bachciczanie naradzają się, wójt Gawron powraca do mojej matki i mówi: my nie żdzierżymy przeciw tym rabusiom, którzy znów z obcych wsi nadciągnąć mogą za chwilę. Łatwiej nam, obronić panie w chałupie niż we dworze.

Według tej rady rozpoczyna się po śniegu i grudzie wyprawa do chałupy starego Więcka.

Z obrońców znika Jan Gut, wierny furman. Gdy on opuścił swój posterunek znowu powstaje trwoga, ale za godzinę powraca. Poszedł pożegnać się ze swoją matką i prosić ją o błogosławieństwo, jeśli zginie w obronie swej pani.

Idące ze dworu do chaty grono pań otaczają kobiety wiejskie, zawodząc i krzycząc: o la Boga, — już w Meszny Polacy rżną chłopów.

Głupiaś babo, odpowiada wójt Gawron, jak Polacy przyjdą, to się z nimi po polsku rozmówimy, gorzej, gdyby przyszli Niemcy.

U Więcka chata mała i dymna. Jest tam żona, czworo dzieci, i są w izbie dwie krowy i troje jałownika. Przybywa teraz dziewięć pań z dwojgiem dzieci. Nie ma gdzie i na czem złożyć głowy, niema czem oddychać. Coś tam ze dworu przyniesiono na pożywienie, ale przez trzy dni pobytu nikt z obecnych pożywienia przyjąć nie był w stanie.

W sieni zmienia się straż po dwóch poczciwych Bachciczan, a co chwila zagląda wójt i na krok nie odstępuje Jan Gut.

Jakoż nazajutrz przyciąga nowa banda chłopów od Meszny opackiej. Wójt powiada: do chałupy was nie puszczę, tam same kobiety i dzieci, my przed cyrkułem zdamy sprawę za naszą wieś.

Po długiej kłótni i targach zgodzono się, że wpuszczą do chałupy dwóch z pośród bandy, aby się przekonali że niema tam mężczyzn.

Weszli ci wysłańcy. Jeden z nich zamyślił się głęboko, patrząc na ten barłóg, na którym spoczywa dziedziczka i kilka pań, pokiwał głową i rzekł:

Pysznych aniołów Pan Bóg z nieba strącił!

Słowa te wywarły głębokie wrażenie na mojej matce. W oczach tego chłopa zakręciły się łzy.

Trzeciego dnia wreszcie, przybywa niespodziewany ratunek.

W Tarnowie, w tych dniach strasznych ostatków krwawego karnawału, gdy zaczęto zwozić przed starostwo ze wszystkich stron wozy naładowane trupami i niedobitkami, dopytywano daremnie kto zabity, kto żyw jeszcze? Była tam córka urzędnika, Niemka z rodu, panna Laura Wajdner, dobra mojej matki znajoma z domu Dąmbskich w Wojniczu. Ona najpierw udała się do starosty Breindla z pytaniem: co się dzieje z panią Celiną Dębicką.

Breindl odrzekł krótko: według moich informacyj należy jej szukać w trupiarni. Odpowiedź ta świadczyła jakie wydał ten naczelnik władzy, co do mojej matki polecenia. Ten mały Robespiere w mundurze austryackim do ogólnej nienawiści szlachty polskiej, jaką pałała ówczesna niemiecka biurokracya, dołączał niekiedy urazy osobiste, czasem osobiste względy. Kilka domów sąsiedzkich, z którymi państwo Breindlowie żyli w towarzyskich stosunkach, było ochronionych od rabunków i mordów. Moja matka nie chciała oddać wizyty pani starościnie Breindlowej, znanej z polakożerczych uczuć, *inde irae*. Stąd owa wskazówka, aby mojej matki szukać w trupiarni, a gdy cudem ocalała mimo instrukcyi starostwa, owo towarzyskie uchybienie było powodem, że młodą kobietę, nie biorącą czynnego udziału w przygo-

towującym się wybuchu, miano następnie wtrącić do więzienia.

Gdy w trupiarni nie odnaleziono mojej matki, zacna Niemka, panna Wajdner, porozumiała się z urzędnikiem Polakiem, dobrym znajomym naszej rodziny, panem Juwenalem Boczkowskim. Boczkowski bywał w domu moich rodziców i doznawał w okolicy ogólnego szacunku. Był to człowiek wielkich zdolności i polskiego serca. Karyerze urzędowej wyprawa do Bachcic, aby ratować naszą rodzinę, miała stanowić stałą przeszkodę. W trzydzieści lat później miał Boczkowski zasiąść w sejmie krajowym, jako jeden z wybitnych przeciwników dawnego systemu, on też na pierwszym sejmie 1861 roku postawił wniosek unieważnienia wyboru swego niegdyś kolegi w urzędach tarnowskich, Joachima Chomińskiego, który w czterdziestym szóstym jeździł po wsiach, nie na to, aby jak Boczkowski ratować od śmierci, ale aby bandy chłopskie prowadzić na dwory.

Boczkowski udał się do znajomego oficera, prosząc o kilku żołnierzy, z nimi wyprawił się na furze do Bachcic, przywdziawszy mundur urzędowy i tę czapkę z orzełkiem, która była znakiem asekuracyi życia. W ten sposób stał on się wybawcą naszej rodziny, ale od tej pory był stale prześladowany przez swych przełożonych, nawet ówczesny zastępca namiestnika czynił mu osobiste wymówki.

Pod wodzą Juwenala Boczkowskiego, w asystencyi kilku żołnierzy, wyruszyła z przed chaty Więcka karawana kilku wozów, a na niej dziewięć kobiet i dwoje dzieci. Jan Gut powoził pierwszą furą, a wójt Gawron siedział na drugiej.

Dwie mile do Tarnowa złych dróg, Biała zrzuciła lody, przeprawa niebezpieczna. Całe grono pań towarzyszących mojej matce źle odziane, bo w pospiesznej ucieczce z dworu piotrkowskiego odziano się tylko w to,

co było pod ręką; co chwila trzeba wysiadać z wozu a w zaspach śnieżnych i rozcieczy błotnistej zostają trzewiki pań wysiadających. Czemże złem wicher i słota w obec tej grozy, którą przejmowała ta krzyżowa droga.

Poczciwi Bachciczanie odprowadzają do granicy, kobiety wiejskie żegnają dziedziczkę, zawodząc od płaczu. Moja matka z rozrzewnieniem żegna tych, którzy ocalili jej i dzieciom życie.

W Bachcicach dom dzierżawny nie został zrabowany. Nawet dukaty w szkatułce i szkatułka z klejnotami, powierzone do przechowania, nie obudziły pożądliwości. Ten sam Walenty Pal, którego czapka barania w czasie pierwszego napadu wzbudziła przerażenie, odniósł obie szkatułki w kilka dni do Tarnowa, a jednego nie brakowało dukata.

Straszny atoli widok spustoszenia i rabunku przedstawił się, gdy ta smutna karawana przejeżdżała koło dworu w Piotrkowicach. Gdy przed trzema dniami opuszczano ten piękny dwór, na wysokiej stojący górze, z rozległym widokiem na dolinę Biały, panował tam jeszcze porządek i dostatek. Pełno było w spichrzach, stodołach, i pełno w oborze, a dwór mieścił obok dawnych cennych zabytków rodzinnych, urządzenie staranne i wykwintne. W trzy dni później stajnie i stodoły otwarte na rozcież i puste, wywieziono zboże, wypędzono bydło i konie. Wszystko, drzwi i okna obszernego dworu powybijane, posadzki nawet porąbane, piece rozwalone. Obok rabunku rozszalała się tu inna namiętność gminu, niszczenie dla zniszczenia. Meble, zwierciadła, obrazy, porcelana, książki z biblioteki, czego nie zabrano do chałup i karczem, to wyrzucono na dziedziniec i w kawałki porąbano. Suknie aksamitne i jedwabne przewiązywano sznurem i sypano w nie mąkę lub zboże jak w worki. Rzucono się na spiżarnię a zwłaszcza piwnicę, a gdy napojów w domu wdowy nie było tyle, ile pra-

gnęły spragnione gardła rozpojonej tłuszczy, próbowano lekarstw z apteczki domowej, perfum i mydeł z garderoby. Zastawy srebrne odwieziono do żyda w Nowodworzu, a gdy na pewne doniesienie, gdzie one się znajdują, moja matka wniosła sądowe podanie o restytucyę, odpowiedziano jej, jak wszystkim, co się upominali o zwrot przedmiotów rabunku: *Kriegszeit*. Podobnie przez pół roku trwał wyrąb drzewa w lesie przez rabusiów, a władze nie chciały wstrzymać wyrębu i dalszego rabunku, który jest dozwolony w czasie wojennym.

Rabunek tak gruntowny, który nazwano wówczas rabacyą, pochłonął znaczną część fortuny, a reszty dokonać miało więzienie i jego następstwa. To, co się stało w tym wypadku, to było regułą ogólną, a rabacya 1846 była początkiem ruiny szlachty w całej zachodniej Galicyi. Przypisywano też naówczas ks. Metternichowi słowa, że kilku polskich szlachciców będzie chodziło o jednym bucie.

Czemżesz straty materyalne wobec tylu krwawych dramatów! Rabunek dworu w Piotrkowicach nie wywarł takiego wrażenia na mojej matce, jak wiadomość, że jej babka, cierpiąca od wielu lat obłąkanie, skonała nagle w chwili najazdu. Jakby zbłąkany duch przeszłości uleciał na widok pożogi, zniszczenia i mordu...

W dalszej drodze do Tarnowa, przed każdą karczmą gromady pijanych i krwią zbroczonych chłopów zatrzymywały wozy. Juwenal Boczkowski w mundurze i z czapką z orzełkiem przemawiał w imieniu władzy cesarskiej i dorzucał kilka przekleństw niemieckich, a ta niemczyzna i ten orzełek, oraz błysk bagnetów w rękach żołnierzy, pijane tłumy doprowadzały do posłuchu.

* * *

Jakież pióro, pędzel jaki przedstawić zdoła, czem był Tarnów w tych dniach straszliwych?!

Przed gmachem starostwa, naprzeciw hotelu krakowskiego, całe kałuże krwi czerwieniły się na śniegu. Tutaj zjeżdżały wozy z trupami i niedobitkami, nie dla ratunku, pomocy duchownej i lekarskiej, lecz dla zapłaty judaszowych groszy. Kilku zaufanych p. starosty Breindla urzędników, płaciło mordercom za rannego 5 złr., za trupa 10 złr. Czynni tu byli: słynny komisarz Chomiński, komisarz Nachlig, kancelista Trojanowski. Odbywało się to publicznie, przy tysiącach świadków. Fakt ten stwierdził w memoryale, złożonym jednemu z arcyksiążąt, zacny Niemiec p. Hosch, właściciel Grybowa.

Koło wozów kręcili się żydzi, a zwłaszcza prawa ręka p. Breindla, dzierżawca propinacyi w Tarnowie, Luxenburg. Wietrzyli oni za wykupem zrabowanych łupów i wyłudzeniem pieniędzy od rozbójników. Z drugiej strony przyznać trzeba, że wielu żydów po wsiach ratowało swych panów, jak nas ów propinator Fabel.

Kilku księży spieszy do umierających, a wśród nich najgorliwiej występuje X. Walenty Serzatowski, katecheta gimnazyalny. Zacny biskup Wojtarowicz zamierza wyjść z procesyą, aby rzeź powstrzymać. Biskupa gwałtem wstrzymał urzędnik ze starostwa, a za jego list pasterski, wydany z powodu mordów i rabunków, usunięto go z zarządu dyecezyi i zmuszono do rezygnacyi, przedstawiwszy w Rzymie, jakoby należał do politycznie podejrzanych i popierających rewolucyę. Podobnie zamierzono postąpić z biskupem przemyskim X. Wierzchlejskim za podobny list pasterski. Ks. Wierzchlejski pojechał do Wiednia i tam się wytłomaczył. Biskup tarnowski tłomaczyć się nie chciał, podpisał rezygnacyę i osadzony został za karę w klasztorze OO. Cystersów w Mogile, następnie zamieszkał przy kościele św. Floryana w Krakowie, gdzie w późnym wieku dokończył pobożnego żywota.

W pierwszych dniach po rzezi przybył do swych dóbr Mędrzychów pod Tarnowem Adam Potocki, i wystąpieniem swojem zmusił włościan do udziału w pogrzebie pomordowanych w tych dobrach ofiar. Na cmentarzu tarnowskim grób wspólny, obszerny, pomieścił kilkaset trupów, których nawet rozpoznać nie było podobna.

OO. Jezuici we Lwowie uzyskali od arcyksięcia Ferdynanda pozwolenie odbywania misyi. Na czele misyi stanął ks. Karol Antoniewicz i doprowadził w okolicach, gdzie było najstraszliwsze życie, lud do skruchy i kajania. Wielki ten misyonarz ludowy, umiał w głębi sumień morderców poznać całą szkaradę tych, co do zbrodni popchnęli, skoro mógł wyrzec te pamiętne słowa, że: połowę nieba zajmą chłopi polscy.

Lud z natury swojej nie był skory do zbrodni. Jakiekolwiek bywały nadużycia pańszczyźniane, dola chłopa nie była tak ciężką jak ją zwykle przedstawiają, owszem znacznie pogorszyć się miała w pierwszym dziesiątku lat po rzezi, mimo zniesienia pańszczyzny. W dawnym ustroju, nie zawsze z poczucia chrześcijańskiej miłości, choć i to bywało często, lecz z samej natury stosunku patrymonialnego, dwór musiał roztaczać opiekę nad dobrobytem poddanych, choćby tak, jak się dba o dobre utrzymanie roboczego inwentarza. Choć ekonom bywał srogi, dziedzic dostarczać musiał z własnego już interesu zboża na zasiew w roku nieurodzaju, bydła do obory kmieciej po zarazach, odbudowywał drzewem dworskiem chatę spaloną lub walącą się. Była odwieczna wzajemność w tym stosunku daremnej, bezpłatnej robocizny i danin znoszonych do dworu, a staraniem dworu o utrzymanie kmiecia na roli i zagrodnika na kilku morgach, aby nie przybywało we wsi pustek. Badając w młodych moich latach usposobienie włościan z generacyi jeszcze przedpańszczyznianej, nabrałem przekonania, że mordy

1846 r. nie były wypływem pomsty za kilkowiekową niewolę. Stan dawny uważano za stan prawny, od wieków utrwalony; lud z własnego poczucia nie pożądał zmiany tych uciążliwych stosunków, rozwiązania tych węzłów, raczej lękał się instynktownie tej zmiany i tej wolności społecznej i ekonomicznej, do jakiej nie był należycie przygotowany i uzbrojony. Prawdę mówiąc, jeśli co pozostało zarodem nienawiści i podnietą do pomsty, to obyczajowe występki, jakich się niestety wobec żon i córek włościańskich tak często dopuszczano ze dworu. Były też liczne grzechy wyższych dworów a zwłaszcza folwarków i oficyn wobec ludu, grzechy zaniedbania, samowoli i demoralizacyi. Były z drugiej strony akty miłości chrześcijańskiej, opieki i pomocy, nie tak wyjątkowe i rzadkie, jak dziś głoszą. Czyniono nieraz uwagę, na wielu przykładach stwierdzoną, że uczuciem ojcowskiem, przystępnością dla włościan, czynną opieką i zdrową radą, budzącą więcej zaufania, odznaczali się w owych czasach przełomu pojęć ci panowie i te dwory, których miano w opinii za zacofanych konserwatystów; natomiast tam, gdzie zapanował kierunek demokratyczny, tam częstokroć objawiała się ostrość, bezwględność i twardość, właściwe demokracyi.

Rzeź i rabacya nie były objawem samodzielnym ludu, były aktem dokonanym w stanie hipnozy.

Najsilniejszem u ludu, obok religii, było poszanowanie władzy i cześć niemal mistyczna dla monarchy, w której tkwił instynkt monarchiczny. Chłop mazurski o Polsce nic nie wiedział, zwał się tylko cesarskim. Bałamucony przez dziesięć lat propagandą emisaryuszów emigracyjnych, których nie rozumiał i którym nie wierzył, wezwany został w imieniu cesarza przez organa rządu do ratowania zagrożonego porządku, do obrony państwa i monarchy. Rozkaz ten przyjął lud tak, jak przyjmuje go żołnierz.

Duchowieństwo ze starej szkoły józefińskiej, lub nowej demokratyczno-patryotycznej, miało także wobec ludu wielkie i dawne grzechy zaniedbania, że chłop nie rozumiał tej Ewangielii »oddać cesarzowi co cesarskie a Bogu co Boskie«. Rozkaz władzy, postrach przed jakąś rewolucyą polską, zbrodnicze podszepty jednych, lekkomyślne działanie drugich wywołało w masach zamęt, a wódka, woń krwi, żądza rabunku, dokonały reszty. Faktem jest jednak, że gdy rozkaz został spełniony, rzeź po trzech dniach ustała. Nigdzie nie utworzyła się banda rozbójnicza, żadnego mordu ani napadu nie zapisują kroniki kraju, mimo doraźnej kary Bożej w nieurodzaju 1847 r. i srogim głodzie, który trwał przez lat dziesięć. Połowa ludności wiejskiej wymarła z głodu, a przez okres dzisięcioletni statystyka wykazuje ubytek ludności wiejskiej w zachodniej Galicyi o cały milion dusz.

Bezkarność i zachęta do mordów nie wyrodziła choroby chronicznej. Jedni kajali się w żalu, drudzy skamienieli w nienawiści, żaden nie porwał się już do zbrodniczego czynu. Za każdym tylko pozorem niepokoju, za każdą poszlaką spisku lub nadziei budzących się w społeczeństwie polskiem pod wpływem wypadków europejskich, urzędnicy urządzali straże chłopskie na drogach, zwoływali wójtów na *amtstagi*, a w wysokich sferach wiedeńskich i wiedeńskiej liberalnej prasie powtarzało się długo znane złowrogie hasło *der Bauer wacht in Galizien*. Czy to stare hasło polityki *divide et impera* nie odzywa się jeszcze niekiedy w niektórych sferach wiedeńskich, o tem wątpić można, wobec jawnych sympatyj dla ruchów i kandydatur socyalistycznych, oraz wobec sympatyi okazywanej zmowom agrarnym na Rusi i ruskiej hajdamacczyzny...

* * *

W Tarnowie moja matka wraz ze swemi towarzyszkami i dziećmi znalazła pierwsze schronienie w mieszkaniu pani Mycielskiej, ciotki panny Konstancyi Bielańskiej, na przedmieściu Grabówka. Napływ wdów i sierót po pomordowanych i tych wszystkich co uciekali ze wsi, był tak wielki, że Tarnów nie mógł pomieścić rozbitków. Brakło wszystkiego, sukien, obuwia, odzieży. Wnet całe miasto zaroiło się od grubej żałoby, bo nie było nikogo, coby nie stracił członków najbliższej rodziny.

Po strasznych przejściach, przerażeniu, zmęczeniu fizycznem, nadchodziły hiobowe wieści.

Każde otwarcie drzwi zwiastowało nowe okropności. O kogo spytać: zabity, ta rodzina wymordowana, były tylko różnice i stopień w szczegółach męczeństwa i okrucieństw.

Niczem na polu bitwy, gdy padają szeregi, wobec grozy tych opowieści.

Tam pod Lisią górą zebrał się oddział czterdziestu mężczyzn uzbrojonych w pałasze, pistolety i strzelby. Na widok zbrojnych banda chłopów zaczęła się rozpraszać. Dowodzący oddziałem Wiesiołowski Franciszek zaczął przemawiać do chłopów, wzywając ich aby się połączyli i poszli zdobywać Tarnów. Na przemowę odpowiadali chłopi: kiedy się panów boimy, bo macie broń. Wiesiołowski wezwał wszystkich do odrzucenia pałaszy i strzelb, na dowód braterstwa i zyskania zaufania. Gdy wszyscy wezwania posłuchali i oddali broń chłopom, rzucono się wtedy na rozbrojonych i zaczęła się straszna rzeź, tak że zaledwie kilku z całego oddziału przeżyło tę chwilę, choć nikt nie uszedł bez ciężkich ran.

Tam, gdzie masy działają z żywiołową siłą, tam rzadko zarysowuje się indywidualizm na kartach historyi, czy krwią czy szlachetnym zapisanych czynem. Legendowe niemal przybrała znaczenie postać Szeli, gło-

wnego organizatora rzezi. Mamy szczegóły od tych co go znali, i od tych co go widzieli wśród krwawych czynów. Nie był to ich zdaniem pospolity zbrodniarz, nie działał jak inni w stanie opiłym, z wściekłością dzikiego zwierza. Trzeźwy i spokojny, miał na ustach słowa pisma św.; gdy mordował i pastwił się nad swoimi ofiarami, wtedy jeszcze występował jako moralista i mściciel. Zdawał się być mistykiem i sekciarzem w siermiędze. Od kilku lat chodził on do starostwa w Tarnowie i bywał na tajnych naradach u Breindla. Rozwinął też niezmierny talent organizacyi band w swej okolicy. Rodem ze Smarzowej pod Brzostkiem, Szela dokonał mordów najpierw w rodzinnej wsi. Padło tam pod cepami i kosami siedmiu członków rodziny Boguszów i kilkunastu zgromadzonych we dworze sąsiadów, dzierżawców i oficyalistów. Po dokonanych mordach miał ten herszt rzezi przemowę do dwóch wdów po Stanisławie i Nikodemie Boguszach, z domu Stojowskich, którym wymordował także synów. Przemawiał jako wybawca od tyranów, jako wykonawca rozkazów nietylko cesarza lecz Pana Boga, znieważał pamięć wymordowanych, a rzekomą litością szydził z nieszczęśliwych żon i matek. Imię Szeli było hasłem w całej okolicy Brzostku, Pilzna i Jasła, gdzie najstraszliwsza szerzyła się rzeź. Zdaniem niektórych historyków jest w tej stronie od Tarnowa ku Jasłu i Krosnu, pewna odmiana etnograficzna ludności, a Szujski nazywa ten szczep ludu »głuchoniemymi«. Jeśli tak jest jak dowodzą etnografowie, to w typie takim jak Szela nie było nic natury chłopa mazurskiego i słowiańskiego, ale jakiś pierwiastek obcy, dziwny, ponury i wrogi.

Szelę wraz z całą rodziną po rzezi przeniesiono na Bukowinę i tam hojnie opatrzono w grunt i dobytek. Zapewniano nas, że całe jego potomstwo miało krwawe znamię na czole, a u ręki po sześć palców.

Innym typem był herszt rzezi w okolicach Ciężkowic, Koryga. Był to prosty pijak i rabuś, natura prostego hajdamaki.

Straszną śmiercią zginął Dominik Rey, wielki dobroczyńca ludu, na rynku w Dębicy. Karol Kotarski, który hojnie wspomagał włościan i słynął z dobroci dla ludu, zamordowany w Brzyskach. Wymordowano tam 18 oficyalistów, dzierżawców i służby Kotarskiego. Morscy ponieśli męczarnie w Latoszynie. W najbliższem sąsiedztwie Bachcic rzeź rozpoczęła się w Łowczowie, choć tam mieszkała tylko staruszka wdowa, pani Tetmajerowa z córkami. W Pleśny zamordowano proboszcza i właściciela Erzenbacha, w Szczepanowicach Chrząstowskich, mimo ich chłopomanii, w Lichwinie kilku cząstkowych właścicieli, w Karwodrzy dwóch braci Niemyskich, w Baszynie Różyckich, ojca i syna, w Chojniku braci Dembińskich, w Gromniku padł syn właściciela Ignacy Dzwonkowski z kilku oficyalistami, w Brniu zginęli dwaj bracia, Prosper i Jan bar. Konopkowie, i tak dalej i dalej. Spisujemy nazwiska i miejsca z tradycyi nam bliżej znane.

Padali w tym krwawem żniwie częstokroć najlepsi, ci, co byli tego ludu opiekunami. Wiemy o wypadkach, gdzie oszczędzono dwór od rabunku i rodzinę właściciela od napadu z obawy pomsty, bo pan był srogi. To znów instrukcya ze starostwa kazała pominąć inne dwory, dobrze w księdze opinii urzędowej zapisane. Gdzie indziej znów zdarzały się wypadki samoobrony, ale bardzo wyjątkowe. Dwaj bracia Wojnarowscy koło Strzyżowa na widok nadciągających band chłopskich dosiedli dzielnych koni, porwali za strzelby, a ładownice z nabojami zarzucili na plecy, i choć nabijanie nie szło tak szybko, bo nie znano jeszcze nabojów odtylcowych, kilku celnymi strzałami wywołali wśród tłumu postrach i całe bandy chłopów pędzili przed sobą aż do Rzeszowa, grożąc opornym kulą w łeb.

Innego rodzaju fakt samoobrony okazał się skutecznym w pałacu w Trzcinicy. Tam sędziwa księżna Jabłonowska, Siemieńska z domu, na wieść o nadciągających bandach rozbójniczych, przywdziała odświętne szaty i order krzyża gwiaździstego na niebieskiej szarfie. Kazała służbie oświecić pałac, a głównie salon, gdzie się znajdował portret cesarza i cesarzowej. W uroczystej postawie księżna oczekiwała przed tymi portretami przywódców napadu i tu miała do nich przemowę w imieniu cesarza, którego portret zdobi jej dom a order jest dowodem jego łaski. Przemowa skutkowała — a banda chłopów cofnęła się wobec tej dostojnej pani, łaską cesarza odznaczonej.

Wśród tych opowieści, jakie krążyły po Tarnowie, moją matkę dręczył niepokój o najbliższych krewnych.

Na tydzień przed wybuchem mordów opuścił dwór w Piotrkowicach najmłodszy brat mego ojca, Mieczysław Dębicki, który był niedawno ukończył szkołę rolniczą w Marymoncie pod Warszawą, a politechnikę w Wiedniu. Bardzo zdolny, szlachetny i powszechnie lubiany młodzieniec, żegnał się z bratem ze łzami w oczach, mówiąc, że ma złe przeczucie. Jechał w Bocheńskie do swej siostry, Stefanii z Dębickich Henrykowej Kępińskiej.

Co się z niemi stało? Przez cały tydzień po rzezi nie dochodziły z tamtych stron żadne wieści. Wtem zjawia się najmłodsza z sióstr mego ojca, 15-letnia Karolina Dębicka, w ciężkiej żałobie i w stanie bliskim obłąkania. Ona tylko pozostała przy życiu, a była świadkiem jednego z najstraszliwszych epizodów tych krwawych dni.

W Nieznanowicach pod Gdowem banda otoczyła dwór. Wyszedł na ganek Henryk Kępiński, pytając czego by żądano?

Banda była z obcej wsi, jak się to zwykle działo, a wśród niej był ukryty urzędnik ze starostwa, Witztum, i wydawał po niemiecku rozkazy.

Zamiast odpowiedzi zarzucono na szyję Kępińskiego sznur jakby arkan i powalono go na ziemię. Moja ciotka Stefania, będąca w stanie ciężarnym, rzuciła się na męża, aby go osłonić od ciosów swem ciałem. Jednem cięciem kosy morderca przeciął jej wnętrzności, że płód wydostał się wśród krwi konającej matki. Odrzucono ciało żony, aby mordować męża. Oboje wrzucono na wóz według rozkazu obecnego komisarza, i rozpoczęto szukać i rewidować dom za innymi. Mieczysława i Karolinę Dębickich chłopi Nieznanowscy chcieli uprowadzić i ukryć w pobliskiej chacie. Mieczysław, przerażony tem, co się dzieje z siostrą Stefanią i szwagrem, opuszcza ukrycie, baby wznoszą krzyk, mordercy nadciągają, i znów jedno cięcie siekiery przecięło czaszkę tak, że mózg wyskoczył na bont stodoły. Siostra Karolina rzuca się na brata i obciera mu twarz krwią i mózgiem zbryzganą, baby nadnoszą wodę w garczkach, aby go cucić.

Gdy do Bochni dojeżdżała fura z trupami Henryków Kępińskich pod wodzą komisarza Witztuma, na inny wóz wrzucono trupa Mieczysława Dębickiego wraz z siostrą Karoliną i dwoma dziećmi państwa Henryków, Zygmusiem i Mieciem Kępińskimi. Wóz ten podążył do Pierzchowa, gdzie się znajdowali matka Henryka Kępińskiego i państwo Ignacowie Dębiccy. Tam nie było napadu chłopów, a raczej podobna była miejscowych włościan obrona, jak we dworze w Bachcicach.

Chłopi z Nieznanowic i Pierzchowa zaręczali, że nie byłoby rabunków i mordów, gdyby nie było ze starostwa *befelu*.

W sąsiednich Grotkowicach, okrutnie zamordowano bliskiego krewnego rodziny Dębickich i Kępińskich, Maryana Żeleńskiego, i tak się nad nim pastwiono, że obecna żona dostała ataku pomięszania zmysłów.

W tej okolicy przed miesiącem odbywało się wesele w Huciskach u barona Lipowskiego dwóch jego

córek. Gdy Lipowski był z rodziny czeskiej, niedawno osiadłej w Galicyi, na wesele oprócz sąsiadów zaprosił także kreishauptmanna Brendta z Bochni. P. Brendt przyjmował gościnę z wielką uprzejmością, pił i jadł z szlachtą polską, rozmawiał i żartował, a już był wydał rozporządzenia mające doprowadzić do tych mordów.

Nie same tylko sfery biurokratyczne odznaczały się zimnem okrucieństwem. Breindlów i Brendtów prześcignął jeszcze bohaterskimi czynami jenerał Benedek pod Gdowem, późniejszy nieszczęsny wódz naczelny z pod Königgraetzu.

Maszerował on ku Krakowu na czele kilku szwadronów kawaleryi i kilku kompanii piechoty. Pod Gdowem napotkał oddziałek sześćdziesięciu studentów i rzemieślników krakowskich, którzy wyprawili się gdzieś do jakiejś ruchawki. Niewiadomo czy było to zasadą z góry powziętą, aby wojsko nigdzie czynnie nie występowało przeciw rzekomym powstańcom, czy to było własne natchnienie wielkiego strategika, że zamiast ująć w niewolę garstkę tych szaleńców bezbronnych, waleczny Benedek przemówił do chłopów, którzy tłumem ciągnęli za wojskiem, i ruszył dalej gościńcem, zostawiając powstańców na rzeź chłopstwa, dodając, aby się z nimi tu dobrze zabawili.

Było kilku oficerów Niemców, jak hr. Legeditsch, i dwóch Polaków, Podlewski i Krawczykiewicz, którzy oburzyli się postępkiem wodza. Daremne były przedstawiania, Benedek kazał maszerować ku Krakowu, wreszcie gdy oficerowie ci chcą w jego ręce złożyć pałasze, Benedek pozwala im powrócić ku Gdowu. Upłynęło tymczasem parę godzin, było już zapóźno. Z ust jednego z nich, Krawczykiewicza, słyszałem w lat dziesięć później opowiadanie, że gdy powrócili we trzech pod Gdów, zastali tam z całego odziału młodzieży jeden wzgórek rąk, nóg, głów i tułowiów porąbanych.

Wobec tych czynów Benedeka pod Gdowem, więdną zaiste wawrzyny Suwarowa z rzezi Pragi. Okrucieństwo ma jeszcze swoje stopnie i szczeble, a najgorsze jest to, z którem się łączy podłość.

Między rzezią Humania a rzezią Tarnowską historyk łatwo znajdzie analogię. Pierwszy rozbiór, którym Austrya posiadła Galicyę a carowa Katarzyna zagarnęła kraje zabrane, odbył się bez protestu krwi, anneksya tu i tam dokonaną została bez wystrzału. Jakby osobne istniało prawo historyczne, że amputacya części organizmu narodowego nie może się odbyć bez krwi rozlewu, tam na Ukrainie pociekła ona bezpośrednio pod nożem hajdamaków, tu w siedemdziesiąt lat później Kainową okupiona została rzezią.

Na wszystko zapadła zasłona niepamięci.

»Ziarno siane w świecie przez wersalskie dzieci, zdradą miało zejść niemiecką«, śpiewał psalmista w przededniu kataklizmu, i wnet inny na jeremiaszowej arfie wzniósł pieśń skargi: *Z dymem pożarów.....*

Psalmy Krasińskiego były wróżbą bezskuteczną. *Skargi Jeremiego* miały na długo zostać jedynem słowem, naznaczającem wielki ból i srogą katuszę. Nie z obawy lub obojętności milczy poezya i milczy historya przez pół wieku o tych krwawych dziejach 1846 r. ale jakby z nadmiaru grozy i potrzeby wewnętrznego obrachunku, aby rany bratobójczą zadane ręką się zagoiły.

»O! rękę karaj, nie ślepy miecz« — woła poeta do Boga — a całe społeczeństwo odpowiada chórem szlachetnym i całkowitem zapomnieniem tym, co mordowali naszych ojców i braci. W tem zapomnieniu tkwiło patryotyczne uczucie i chrześcijański heroizm.

Zwolna wymierało pokolenie chłopów, krwią rzezi zmazanych. Jedni w skrusze się kajali, inni w zbrodni-

czem uczuciu zatwardziali. Hersztowie po większej części w pierwszych latach tragicznym kończą zgonem.

— Tak powiadają, że ci, co panów zabijali, pomarli nagle. Ja ich pięciu ubiłem własną ręką, a nic mi się nie stało — mówił chłop w Buszynie przy robocie na tartaku. Nie dokończył tych słów przechwałki, gdy się pośliznął i runął trupem z kobylicy na ziemię.

Jedyny ze służby mojej matki w Piotrkowicach, fornal Kusyk, który brał udział w mordach i rabunkach, żył dość długo i lubił się także przechwalać ze swych krwawych czynów. Wracając raz pod wieczór zimowy z Tarnowa, zapewne w stanie nietrzeźwym, wpadł w zaspę śnieżną, pod którą kryła się przepaść. Nazajutrz znaleziono go tam trupem, a powstała stąd legenda między ludem, że djabeł go długo wodził, aż w pasyi zadusił.

Wypadki te i zgony nienaturalną śmiercią dawnych morderców, wywierały silne wrażenie na młode pokolenia, jako widoma kara Boża.

A zaciężyła ta kara Boża nad ogółem ludu, bo w sprawiedliwości Najwyższej jest ciężkie prawo solidarności. Nadeszły lata srogiego głodu i pomoru. Rok 1847 przyniósł całkowity nieurodzaj. Pomocy we dworach nie było, bo panowie siedzieli w więzieniach, a ta sama władza, która przed rokiem płaciła za rannych nagrodę pieniężną, a podwójną kwotę judaszowych groszy za trupy, teraz odmawiała ratunku.

Głód był tak wielki, że zdarzały się wypadki kannibalizmu, a w naszej wsi, w Bachcicach, gdy matka poszła coś wyżebrać i ukraść dla umierających z głodu dzieci, jedno z dzieci skonało, a rodzeństwo ciało braciszka pokrajało i ugotowało w garnku. Matka powróciwszy, dzieliła się tą strawą. Fakt ten sądownie został stwierdzony.

W rok później dopiero, gdy znów nieurodzaj się ponowił, nadeszło z Wiednia rozporządzenie, aby wyda-

wano dotkniętej głodem ludności otręby, należytość za te otręby miała atoli być ściąganą z gmin i z dworów. Gdy nieurodzaj trwał lat dziesięć, płaciliśmy wszyscy obszarnicy i chłopi długie lata za te otręby rządowe, w których atoli połowa bywała piasku. Tak w praktyce wyglądał humanitaryzm, aż do socyalizmu i anarchizmu posunięty, starej biurokracyi, chlubiącej się »opieką nad ludem«.

A w tych dworach, na które zewsząd do dziś dnia pada grad kamieni, do odartych ścian i pustych komnat, powracają z wolna z więzień dawni panowię lub żałobne wdowy z sierotami. Rozpoczyna się tam ciężka dola nowego dorobku, gdy w spichrzach pusto i pusto w oborach. A jednak wśród tych walk i trosk rozpoczyna się chrześcijańska czynność, aby ratować, pomagać, łagodzić, podnosić te nędzne chaty. Pamiętam z lat dziecinnych, a pamiętam nietylko w naszej włości, gdzieśmy mieli długi wdzięczności wobec włościan Bachcickich, naszych obrońców, ale pamiętam w całej okolicy tarnowskiej, i w dalszych stronach kraju, tę zdwojoną czynność miłosierdzia i akcyę społeczno-cywilizacyjną tych dworów.

Pamiętam przedewszystkiem te chmury żebraków, idących gdzieś z gór, o wybladłych i napuchłych policzkach; pamiętam ten rój przybyszów podrostków o wyrazie wynędzniałym aż do idyotyzmu. I trzeba było część zbioru poświęcić na jałmużny, a wynaleźć zajęcie dla tych włóczęgów, choćby przy trzodzie lub drobiu, byle ich nie puścić dalej na żebraninę i śmierć głodową...

I pamiętam wszędzie we dworach szlacheckich apteczki z lekarstwami i owe panienki uczące czytać i pisać, gdy jeszcze szkół wiejskich szlachecka autonomia nie zaprowadziła.

Myśmy wszystko odrazu zapomnieli, ale na odwrót, i nam wszystko zapomniano, cośmy dobrego zdziałali.

Nie prędko miała ustąpić stara biurokracya, która po swojemu głosiła zasady ludowo-demokratyczne, a miała na sobie krwawe piętno 1846 r. Wymiotła ją w lat kilkanaście dopiero potężna prawica męża stanu, który ujął ster rządu. Lecz zaledwie ustąpili ludzie szkoły Kriega i Breindla, a wnet z pośród nowych warstw i niższej inteligencyi wystąpiły całe zastępy mniemanych ludowców, którzy pod inną formą i w imię rzekomo innych celów, tę samą podjęli robotę i te same hasła bratobójczej walki, rozstroju i waśni.

Gdy się słyszy ich mowy i czyta ich pisma, powtórzyć trzeba z Ujejskim: »mnóstwo Kainów jest wpośród nas«.

Ziściły się zapowiedzi księcia Metternicha o upadku i ruinie szlachty galicyjskiej. Wielu po tych wstrząśnieniach nie powróciło pod ojczysty dach. Niejeden dramat rodzinny, zaczynający się od niewczesnych przygotowań wybuchu, następnie przedstawiający szereg rzezi, rabunku, więzienia, kończył się w małych domkach przedmieść tarnowskich, na Strusinie lub Grabówce, gdzie szukali zapomnienia zrujnowani wypadkami dawni właściciele dóbr. Inne żywioły zajęły ich miejsca, a dworów ubyło, lub przeszły w ręce innowiercze i innoplemienne.

Lecz stoi szlachcic polski na wyłomie, jako cel do strzałów. Pociski wymierzają synowie obcej biurokracyi z trybuny parlamentarnej lub szpalt dziennikarstwa wiedeńskiego, w tę stronę padają strzały zatrute, błoto, jad i kamienie od swoich, od zgrai socyalistów, ludowców i Rusinów.

Przebaczenie i zapomnienie wobec ludu, krwią bratnią zbroczonego, pozostanie chlubą szlachty polskiej w Galicyi. Trudniejsze jeszcze zapomnienie wobec innych czynników, a jednak i tutaj świadectwem dojrzałości politycznej, dowodem ducha polskiego, który sięga poza granice naszego kraju i losy narodu waży na szali klęsk

i nadziei, było to rzucenie zasłony na krwawą kartę i rzucenie pomostu między sprawą polską a przyszłością monarchii Habsburgów.

Znakomity autor »listu szlachcica polskiego do księcia Metternicha«, gdy wznosił ten jedyny polityczny protest przeciw zbrodniom 1846 r., nie przeczuwał, że w dwa lata później grono politycznych mężów podniesie sztandar zapomnienia i pojednania.

* * *

Po dniach rzezi i rabunku nadeszły miesiące i lata więzienia. Najpierw w Tarnowie, Bochni i innych miastach cyrkularnych, tych wszystkich, których zwozili chłopi, a ich nie domordowali, wtrącano do aresztów miejskich najniższej kategoryi.

Miały swoją sławę więzienia austryackie z czasów despotyzmu, Spielbergi i Kufsteiny ze swej surowości. Były to fortece wałami i murami obwiedzione i strzeżone przez nadzór więzienny, aby żaden promień lub powiew z zewnętrznego nie dochodził świata. Lecz żaden opis, nawet Silvia Pelica, nie zbliża się do tego, co czekało naszych niedobitków w więzieniach cyrkularnych. Najpierw prowizorycznie urządzone, nie mogły pomieścić razem i zwykłych zbrodniarzy i teraz setkami przybywających więźniów stanu. Pierwszą katuszą było to połączenie, drugą przepełnienie. W izbach pełnych wilgoci i nieczystości, często w kazamatach i piwnicach, umieszczano pospołu prostych złodziei z właścicielami dóbr, podpalaczy i morderców z księżmi, a do każdej kaźni pakowano po dziesięciu i więcej więzniów, dając im nie osobne prycze lecz wspólne z kilku wiązek słomy posłanie. Od robactwa roiła się podłoga, jeśli była podłoga deskowa. Nieznośne odory i zaduchę powiększała nieczystość, o której trudno dać pojęcie. Pożywienie przynoszono na misach i kazano jeść wspólnie odrażające

kolorem i wonią jadło z jednej misy drewnianemi łyżkami. Dodajmy do tego, że większość uwięzionych wyszła z rzezi z ciężkiemi ranami, na których opatrzenie nie było dość sanitarnej pomocy. Było to istne piekło te więzienia po cyrkułach, choć miały one być tylko czyśćcem na czas wstępnych indagacyi. Gdy rozpatrzono sprawę, spisano akta, przesłuchano podejrzanych, bo jeszcze nawet nie oskarżonych — jeśli tylko ślad winy wyśledzony z własnych zeznań lub przesłuchania świadków — wtedy odsyłano więźniów do Lwowa, dla dalszego badania w wielkim, kraj cały obejmującym procesie politycznym; a tych, na których nie ciążyły nawet najlżejsze poszlaki udziału w przygotowującem się a niedoszłem powstaniu, wypuszczano, nie umiem powiedzieć na wolność, lecz pod ścisły nadzór policyi i chłopstwa do domów — ale to się działo dopiero po kilku tygodniach, niekiedy kilku miesiącach.

Jakżeż daleko jesteśmy od tych czasów! Dziś niema więźniów politycznych, a zdrada stanu lub obraza majestatu głoszoną bywa bezkarnie z trybun parlamentarnych przy oklaskach galeryi. Austryacka Bastylla w Spilbergu i Kufsteinie dawno zniesiona. Więzienia dla zwykłych zbrodniarzy i przestępców urządzone, nietylko co słuszna, według wszelkich wymagań zdrowotności, ale z komfortem i zbytkiem przechodzącym o wiele zwykły sposób życia na świecie i wolności tych, co się dostali pod klucz za czyny sprzeczne z kodeksem karnym. Wiktor Hugo i Tołstoj w powieściach, Lombroso w dziełach o kryminalistyce oddziałali na sądy i kryminały, czyniąc z nich wygodny przybytek ludzi, jakby zamkniętych tylko dla odpoczynku od pracy lub lepszego jeszcze zaprawienia się w karygodnem rzemiośle.

Rzecz dziwna, że literatura nasza uboga jest w pamiętniki z więzień. Przed laty dwudziestu jeszcze nie było w Galicyi liczniejszego zebrania, w któremby wię-

kszość obecnych nie miała do opowiadania szczegółów i anegdot z pobytu w więzieniu. W zetknięciu osób z różnych dzielnic Polski, można było porównywać opowiadania o berlińskim Moabicie, warszawskiej cytadeli i więzieniu na Pawiaku, o słynnym czwartym pawilonie, lub o więzieniach petersburskich, wileńskich i kijowskich.

W takich pogadankach, któreśmy wielokrotnie słyszeli, nie ustępowały pierwszeństwa, owszem pod wielu względami otrzymywały palmę więzienia galicyjskie, zarówno co do doznawanych szykan jak i więzień tych urządzenia.

W Tarnowie życie było niemożliwe, w tej atmosferze okropności, dokonanych w dniach lutowych, i jeszcze grożących. Moja matka po pierwszych chwilach zaopatrzenia w najniezbędniejsze rzeczy i nieco funduszów na życie, zażądała paszportu na wyjazd za granicę. Stanowczo tego w starostwie odmówiono, z trudnością uzyskała paszport do Krakowa na kilkodniowy tylko pobyt, i paszport do Lwowa.

Najpierw więc droga do Krakowa, gdzie mieszkała moja babka w willi Szlak. Droga tu była straszna, wprawdzie band chłopskich już nie spotykano na gościńcu, ale wszędzie ślady zniszczenia, rabunku i mordów. W karczmach gdzie popasano, znaki krwi niezmyte. Droga wiodła przez Nieznanowice, gdzie zginęli Kępińscy i Mieczysław Dębicki, a dwór tuż w pobliżu gościńca, odarty i zrabowany, stawił przed oczy okropny a tak świeży ten dramat rodzinny. A dalej Gdów, gdzie jeszcze widać było kałużę krwi, gdzie wymordowano cały oddział.

Kraków zajęty przez wojsko austryackie, i niebawem miała nastąpić dyplomatyczna nota, ogłaszająca zniesienie wolnego miasta i anneksyę Krakowa. W czasie krótkiego pobytu w domu matki na Szlaku opowiadano

wzajemnie o okropnościach rzezi tarnowskiej i tragikomedyi dyktatury krakowskiej. Było to krótkie przedstawienie, bo zaledwo trwające trzy dni, ale miało wiele scen i aktów, w których śmieszność łączyła się ze zgrozą. Najpierw niespodziewana nocna ucieczka wojska austryackiego do Myślenic pod wodzą jenerała Collina. Czy istotny strach przed spiskiem i powstaniem, czy zamiar prowokacyi był tej ucieczki powodem? Potem następują sceny rządów w »szarej kamienicy«, gdzie rządca, dawniej ks. Sanguszki, następnie hr. Kuczkowskiego w Woli Justowskiej, Tysowski, ogłasza się dyktatorem, i bez namysłu wydaje naraz wojnę trzem zaborczym mocarstwom. Odrazu pospolite ruszenie, uzbrojenie studentów i mieszczan krakowskich, nie pomijając członków arystokracyi, którym dyktator Tysowski każe stać przed swem mieszkaniem na warcie. Wczorajszy chlebodawca, hr. Kuczkowski, zniewieściały typ półpanka, jakby wykrojony z »Cudzoziemczyzny«, wezwany na taką wartę przed dyktatora, daremnie katarem chce się wytłomaczyć. Kapitan Skarzyński ogłoszony naczelnym wodzem w kampanii na trzy fronty, odbywa rewie i ćwiczenia, a choć ma do czynienia z filistrami, którzy bronią władać nie umieją, ani prochu jeszcze nie wąchali, wyrusza w pościg za wrogiem i odnosi istotne zwycięstwo w potyczce koło Trzebini, dzięki animuszowi studentów i waleczności krakowskiego ludu, który się częściowo do tej kampanii trzechdniowej dał wciągnąć. Tymczasem jednak w Szarej kamienicy zachodzi zmiana rządu. Na naradzie poważniejszych obywateli u Józefa Wodzickiego, przedstawiło się niebezpieczeństwo excesów i szaleństw w tym stanie rzeczy. Bez wahania profesor uniwersytetu, Michał Wiszniewski, zbiera kilkunastu młodzieży, mających w zacnym profesorze zaufanie, i z Biblioteki Jagiellońskiej wyrusza przed Szarą kamienicę, obala dyktaturę Tysowskiego i sam dyktatorem się ogłasza. Przy tym zamachu

stanu w miniaturze, popełnia ten zwykły u Polaków błąd, że pokonanego przeciwnika puszcza wolno. Dyktator Tysowski z wielką wstęgą przez piersi, którą sobie sam nadał i zawiesił, w otoczeniu pięciu ministrów i sekretarza stanu, wyrzucony z Szarej kamienicy na ulicę, gromadzi znów gawiedź koło siebie i przygotowuje kontrrewolucyę! Tymczasem Edward Dębowski wyrusza z procesyą, aby się połączyć z ludem galicyjskim, lecz jak już wspomniano, na moście podgórskim spotyka powracającego z Myślenic Collina. Tragikomedya znów się kończy krwią i śmiercią kilkunastu walecznych szaleńców.

Tymczasem od Michałowic przez Kleparz zdąża wojsko rosyjskie pod komendą jenerała Riedigera, i uprzedza Austryaków, zajmując wpierw rynek i odwach. Wobec okropności, jakie się świeżo dokonały w Galicyi, ludność Krakowa przyjmuje okupacyę rosyjską jakby wybawienie.

Taki był przebieg tych wypadków, taki był epilog trzydziestoletniego bytu Rzeczypospolitej krakowskiej. Żywot ten, o połowicznej niezależności, nie zostawił dodatnich śladów. Miasto mimo wolności handlowej lecz przy wysokich cłach przy wywozie towarów nie podniosło się materyalnie. W sejmie były partye i antagonizmy, w zarządzie miasta przesadne wstecznictwo, nie dopuszczające zmian i postępu. Zburzono za rządów wolnego miasta średniowieczny ratusz, baszty i mury dokoła wałów, a natomiast założono plantacye. Ludności znacznie przybyło, taniość życia obok dobroczynności szerokiej ulżyły nędzy pozbawionych zarobku warstw ludowych; utrzymywał się stan mieszczański ze swym patrycyatem, który jednak wnet miał zniknąć i upaść pod zmienionymi rządami, ze skomplikowanych powodów, ale między nimi był najsilniejszym wpuszczenie żydów z Kazimierza do śródmieścia. Nauki na starym uniwersytecie niezbyt się rozwijały, ale zaczęła rozwijać się

poezya i kiełkować malarstwo. Obok zawiązanego Towarzystwa naukowego pod przewodnictwem kasztelana Wężyka, obok redakcyi Kwartalnika naukowego, gdzie Helcel, Popiel, Wielopolski i Świdziński tworzą pewne ognisko, jest i młoda literatura z Edmundem Wasilewskim, Gustawem Ehrenbergiem. W malarstwie i sztukach obok Piotra Michałowskiego Statler tworzy początek szkoły na wzorach włoskich. Jest też z Ambrożym Grabowskim początek archeologii. W małem jeszcze mieście, ale z dumą starej historycznej stolicy, istnieje wielki świat z wysokim poziomem kultury i szlachetnemi tradycyami. Takim był Kraków za czasów Rzeczypospolitej, wolnej a ściśle neutralnej, a typy odrębne i swojskie długo jeszcze przeżyły jej istnienie.

Znać tu do dziś, że z wszystkich dzielnic i miast Polski, Kraków najdłużej żył własnem życiem, najkrócej ulegał obcym rządom.

Zatrzymaliśmy się nieco w starym Krakowie, choć moja matka po parudniowym pobycie w gronie rodzinnem wnet powrócić miała do Tarnowa. Oświadczono bowiem w starostwie, że na stały pobyt wolno jej tylko przenieść się do Lwowa. Nie przeczuwając tego, co ją w stolicy Galicyi czekać miało, wyruszamy ku Lwowu własnymi końmi, z nieodłącznym Janem Gutem, bohaterskim naszej rodziny obrońcą w czasie napadów chłopskich, który teraz jako furman zasiadł na koźle z lokajem Stanisławem i panną służącą Zielińską.

* * *

Wspomnienia Lwowa w pamięci czteroletniego dziecka odbiły się dość wyraźnie, gdy dziś, pół wieku odtąd minęło, zarysowują się jeszcze główne linie. Widzę dotąd to podwórko domu obok klasztoru Sakramentek, gdzie najpierw moja matka zamieszkała. Na tem podwórku, połączonem z ogródkiem, bawić się mu-

siałem często, skoro tkwią mi w oku wizerunki współlokatorów: łysina gospodarza pana Kukurewicza, i fantastyczne stroje pani konsyliarzowej, która cierpiała na łagodne obłąkanie pełne dobrego humoru, gdy całymi dniami śpiewając, zajmowała się zamiataniem dziedzińca i wchodzących witała prezentując miotłę, jak żołnierz na odwachu prezentuje karabin. Do tych osobliwości, które najpierw zajęły wyobraźnię dziecięcia, należał wielki pies gospodarza domu, przykuty łańcuchem do swej budki, i czarna postać kominiarza. Jeśli ten ostatni był postrachem, to stróż domowy w swej budce budził obok obawy chęć zbliżenia i zaznajomienia.

Potem wrażenie silniejsze, wstrząsające do głębi duszą dziecięcą, wrażenie tak potężne, że stanowi już datę w życiu i przełom w rozwoju indywidualności. Pamiętam tę chwilę całkiem wyraźnie, jakbym na nią dziś patrzał. Przyjechali karetą jacyś panowie w mundurach, nie chcieli usiąść, gdy im moja matka wskazała miejsce; stojąc, jeden z nich odczytał jakiś papier po niemiecku, a drugi tłomaczył go na polskie. Potem moja matka rzuciła się w objęcia swej przyjaciółki, ucałowała nas dwoje, uklękła przed obrazem matki Boskiej, a po chwilowej modlitwie, bez oporu, bez łzy w oku, ale dziwnie blada i drżąca zebrała się jakby do drogi i wyszła z tymi panami, odjechała gdzieś tą karetą, a na koźle siedział żołnierz.

Odjazd ten nie był niespodzianką, bo już od paru miesięcy w przedpokoju żołnierz na straży odmieniał się ustawicznie, a moja matka z przyjaciółką codziennie wieczorami płakały. Przychodzili niektórzy przyjaciele, przychodził adwokat, i długie a jakieś smutne odbywały się narady. Wraz ze starszą siostrą przeczuwaliśmy coś, czegośmy nie rozumieli, czego nazwać byśmy nie umieli, ale co było straszne, ciężkie. Teraz dopiero, gdy ci panowie w mundurach odczytali to niemieckie pismo a moja

matka nas tak tkliwie żegnała, i z tymi obcymi ludźmi o twarzach wstrętnych i zimnych wyszła z mieszkania, zrozumieliśmy co jest nieszczęście i co jest rozpacz. Zrozumieliśmy jedną rzecz jeszcze, co jest prześladowanie, co jest wróg. Moja siostra Wandzia, rzuciła się ku matce aby ją zatrzymać, ledwo moja ciotka zdołała ją oderwać, ja zaś miałem jakby błysk idei samobójstwa, bo nie czując się na siłach obronić mojej matki, rzuciłem się z wysokiego krzesła na ziemię w tej myśli, że się zabiję...

Konieczność zajęcia się dziećmi przyprowadziła do przytomności ciotkę Konstancyę. Twarz jej zmieniła się do niepoznania, bladość była taka, że zdawało się, iż kropli krwi niema w tej młodej twarzy, oczy tylko szafirowe nabrały wyrazu boleści i pewnej siły. Potrzeba było tej siły dla młodziutkiej osoby, aby zwalczać straszną boleść i podjąć nowe zadanie opiekunki dzieci i obronicielki tej, którą w tej chwili porwano, aby ją uwięzić. Znalazła się w tej wątłej istocie, zdawałoby się nie zdolnej do żadnego samodzielnego działania, dziwna energia i śmiałość. Codziennie moja ciotka szła szukać ulgi dla uwięzionej przyjaciółki, a więc od dozorcy więziennego i woźnych aż do prezesów sądu i namiestników, rozpoczęła te obchody od Annasza do Kaifasza, dobrze Polkom w podobnych warunkach znane. Często bardzo brała nas oboje dzieci, aby widokiem sierót rozbrajać skamieniałe serca. Umiała sobie utorować wszędzie wejścia i drogi, tak że często zanosiła instancyę nietylko za moją matką, lecz za wielu z jej towarzyszy więziennych. A te instancye nie były łatwe, zwłaszcza w pierwszym okresie indagacyjnego więzienia.

Czy kiedyś jaki historyk, badając archiwa sądowe, wśród wielu innych spraw o zbrodnię stanu, odnajdzie sprawę Celiny Dębickiej?

Gdy więzienia lwowskie zapełniły się po brzegi więźniami stanu z całego kraju, d w i e tylko k o b i e t y

zostały uwięzione, moja matka i pani Boguszowa z Sanockiego. Ani płeć, ni wiek 24 lat, nie uchronił od tej srogiej kaźni, zwłaszcza, że akt oskarżenia niczego innego nie dowodził, jak tylko, że moja matka wiedziała o przygotowującej się rewolucyi i że wezwała wójtów swych wsi, aby im obwieścić, że darowuje pańszczyznę. Takie winy podzielali wszyscy w kraju, tak mężczyźni jak kobiety. O czynnym udziale w spisku nie było nawet mowy. Sami konsyliarze prowadzący inkwizycyę przyznawali, że w sprawie pani Dębickiej chodziło o przykład, że i wdowy są odpowiedzialne za udział swej służby i podwładnych w ruchu rewolucyjnym. Dla przykładu tylko wybrano moją matkę, a wybrano za wskazaniem i inspiracyą starosty Breindla. Z wezwanych świadków, dwóch tylko świadczyło obciążająco: mandataryusz Grążewski i szafarka Mrozowiczowa. Włościanie z Buchcic a nawet wójt z Piotrkowic powtarzali jak mularze w »Zemście« Fredry: »nie widziałem, nie słyszałem«, gdy ich pytano o ów akt darowizny pańszczyzny. Z nikim z przywódców spisku żadnej konfrontacyi nie było. Mimo to wszystko zapadł wyrok w pierwszej instancyi na dziesięć lat ciężkiego więzienia.

Indagacye prowadził konsyliarz sądu krajowego, Rothleitner, znany ze swej polakożerczej nienawiści. Sprawy rozstrzygały się kolegialnie, więc trzeba było czynić zachody i starania o każdy głos z osobna. Wśród różnych typów urzędniczych był jeden stary zatabaczony Niemiec, nazwiskiem Gloizner, który w oczy, bywał gburowaty i opryskliwy, ale mówiono że w gruncie komu mógł to pomagał. Moja ciotka często nachodziła tego Niemca w biurze, to znów odwiedzała jego żonę w mieszkaniu, aby zjednać wpływowe wotum dla mojej matki, a na takie urzędowe wizyty brać zwykła zawsze nas dwoje dzieci. Gloizner głaskał po głowie moją siostrę, a widząc mój opór, że niechętnie się zbliżałem i nie

chciałem brzydkiego starca pocałować w rękę, rzekł: dziewczynka jak aniołek ale chłopiec to będzie taki łotr rewolucyonista jak i matka.

Protokół prowadził młody urzędnik Pressen, syn prezesa sądu, znanego prześladowcy oskarżonych Polaków; lecz syn, przez często zdarzającą się reakcyę w drugiem pokoleniu, miał już uczucia polskie i objawiał je przy każdej sposobności w sprawie mojej matki. Zdarzyło się, że kobieta skazana za prostą kradzież, a dana pozornie na usługi, istotnie dla szpiegowania i prześladowania, jako towarzyszka więzienna mojej matce, (a towarzystwo takie było największą katuszą i torturą), pochwyciła bileciki mojej ciotki pisane do więzienia; te bileciki przedłożyła do sądu jako *corpus delicti*, dodając najrozmaitsze przeciw mojej matce oskarżenia. Młody Pressen mając dział karny przy przesłuchaniu tej złodziejki, imieniem Baśka, kazał jej wyliczyć kilkanaście plag, i dodawał z cicha: za panią Dębicką. Zacny ten człowiek, narażał się nie mało czyniąc wszystko, aby więźniom stanu przychodzić w pomoc. Gdy czasy się zmieniły, awansował spiesznie. W lat wiele później odwiedzałem go, gdy był prezesem sądu w Przemyślu, powszechnym otoczony szacunkiem; był on znany jako numizmatyk, a jego zbiór monet i medali polskich nabył następnie biskup Stupnicki.

Spolszczenie synów urzędników niemieckiego pochodzenia bywało w Galicyi objawem niemal ogólnym.

Dość wspomnieć z dawniejszych czasów Wincentego Pola, którego ojciec pisał się Pohl von Pohlenburg, był starostą w Lublinie i nie mówił po polsku, a syn stał się nietylko swą twórczością poetyczną, lecz całą postacią i charakterem, typem polskości; Karola Szajnochę, także syna urzędnika obcokrajowego, równie jak historyka Henryka Szmida. Teorya o korzyściach mięszania ras znajdowała tu częste potwierdzenie, gdyż społeczeń-

stwo polskie odnosiło wielki pożytek z przymiotów i talentów swych świeżo przysposobionych synów obcego pochodzenia. Psychologicznem prawem reakcyi, gorący patryotyzm i duch opozycyi do austryackiego rządu w odcieniach radykalnych stopniował się częstokroć u synów, w miarę nienawiści polakożerczej ojców. Gdy stary prezes Wittmann całe życie spędził na szukaniu przestępców Polaków i wtrącaniu ich do więzień, jego syn, Karol Witman, miał kilkakrotnie przebywać po kilka lat w tych samych celach więziennych i za te same zbrodnie i przestępstwa polityczne, jako spiskowiec i agitator polski!

Mojej matce po jej przybyciu do Lwowa dano najpierw stróża bezpieczeństwa do domu, co było zapowiedzią uwięzienia.

W gronie nielicznych znajomych, jakich moja matka zastała we Lwowie, powstała myśl urządzenia jej ucieczki za granicę. Gdy jednak wyjazd potajemny z dziećmi i przyjaciółką byłby niemożliwy, moja matka sama uciekać nie chciała, i mówiąc, niech się dzieje wola Boża, z wdzięcznością propozycyę odsunęła i czekała swego losu. W kółku tych znajomych był adwokat, którego nazwiska nie wymienię, kolega szkolny mego ojca, wychowanek rodziny Dębickich, i jej kosztem utrzymywany w szkołach.

— Wszystko zawdzięczam rodzinie Dębickich, byli oni moimi dobrodziejami — mówił on — dziś jestem w możności odwdzięczenia się za to dobro. — I po takiem wstępie, zaczął mojej matce przedstawiać, że jest jakoby zamiarem rządu przeprowadzać konfiskatę majątków osób skompromitowanych. — Ma on — mówił — pewne wiadomości, że taki zamiar istnieje w sferach rządowych odnośnie do majątku mojej matki, i aby się od pewnej utraty majątku uchronić, niema innego sposobu, tylko trzeba dobra przepisać hipotecznie na inne imię. —

Przestraszywszy w ten sposób młodą, niedoświadczoną, znękaną kobietę, która nie miała nikogo z krewnych lub sąsiadów do porady, bo wszyscy już bliżsi znajomi siedzieli w więzieniach, adwokat ten, dając zapewnienia swej wdzięczności dla pamięci mego ojca i poświęcenia dla jego dzieci, podsunął myśl cesyi dóbr Piotrkowice, Buchcice i Meszna na jego żonę. Gdy moja matka zaproponowała, aby taką cesyę zrobić na imię swej przyjaciółki, adwokat zrobił uwagę, że panna Bielańska, wiadomo, że niema majątku, a pozorna sprzedaż byłaby łatwo unieważnioną, a nawet mogłaby mieć następstwa procesu karnego, jako ukrycie i obejście prawa.

Moja matka nie podejrzywając niecnej zdrady, zgodziła się wreszcie na propozycyę adwokata, podpisała akt przeniesienia dóbr na imię żony adwokata, dała mu nadto pełnomocnictwo do działania, a tylko zażądała listu z kontracesyą na swoje dzieci, który zapieczętowany odesłała naszemu współopiekunowi. Podstęp adwokata, wyzyskującego tragiczne położenie młodej, bezradnej kobiety, miał mieć, jak zobaczymy później, bardzo zgubne dla naszej rodziny materyalne następstwa.

Po uwięzieniu wtrącono moją matkę najpierw do cuchnącej kaźni w gmachu pokarmelickim, gdzie dziś pałac sprawiedliwości, przy ulicy Batorego. Straszne to było więzienie, izdebka mała na pół ciemna, bo okno zakryte było z zewnątrz t. zw. koszem, a było tak wysoko, że gdy moja matka na walizie postawiła wysokie karło i stanęła na jego poręczy, wtedy tylko dojrzeć mogła kawałek niebieskiego błękitu. Czytanie w dzień lub jakakolwiek robota kobieca dla zabicia długiego dnia więziennego, przy świetle dziennem stawało się wytężeniem zagrażającem oczom. Gorzej jeszcze wieczorem, bo światła w kaźni nie wolno było zaświecić, tylko w drzwiach do korytarza więziennego, zaryglowanych i zamkniętych wielkim więziennym kluczem, znajdował się mały kwa-

drutowy otwór z szybką szklanną, tak zwaną wizyterką, i przez tę szybę z oświetlonego korytarza padał kawałek światła do kaźni i odbijał się małym czworobokiem na podłodze. W kaźni było tyle plugawego robactwa, że na kwadracik oświetlonej podłogi ściągały się karakony i stonogi, aż bywało czarno. Piec żelazny wydający nieznośny swąd, i w przeciwległym kącie sprzęt niezbędny, lecz przyczyniający się do zaduchy, stanowił całe urządzenie kaźni. Zachodami i staraniami ciotki Konstancyi uzyskano jedną koncesyę, że zamiast kaziennej pryczy, stołu i dwóch stołków, dozwolono przynieść mojej matce własne łóżko, biureczko, szafę i karło jasionowe, które dotąd jako pamiątkę przechowujemy. Drugą koncesyą zdobytą przez moją ciotkę, było dozwolenie pożywienia z pobliskiej restauracyi, które atoli przechodziło przez ścisłą rewizyę tak zwanego kerkermeistra.

Kubany i prezenta nie zdołały rozbroić owej towarzyszki więzienia, prostej złodziejki Baśki. Takie towarzystwo upadłej istoty, było dla mojej matki cięższem od samego więzienia. W pochodzie na Sybir jeńców wojennych, jak Roman Sanguszko, skazańców politycznych przykuwano do jednego drąga z pospolitymi zbrodniarzami. Taką samą moralną torturę zastosowały sądy austryackie wobec młodej, niewinnej kobiety. Co mogły mówić z sobą, ta pani wyższej sfery towarzyskiej z tą dziewczyną wziętą z ulicy, pochwyconą za kradzież? Otóż moja matka zamykała się w milczeniu. Baśka opowiadała swoją historyę, śpiewała sprośne pieśni lub tłomaczyła gwarę złodziei lwowskich, z której pozostały mi w pamięci słowa: [illegible] miły grosz ukradziony. Wśród pieśni śpiewanych przez Baśkę, były z ohydnych i sprośnych niektóre pieśni ludowe ruskie nie bez poezyi, jak owa, jakby ballada o synowej, którą matka męża otruć zamierzała, lecz syn wina nie pił i pod konia wylał, a [illegible] to się podzielił.

I kobieta upadła i zbrodniarka z gminu może mieć jakąś dobrą stronę, litości lub poszanowania. Baśka brała pieniądze i podarki a dokuczała mojej matce i straszyła ją ustawicznie denuncyacyą, wymyślała groźby, pałała nienawiścią.

W tej złodziejce tkwił już zaród nienawiści rasowej, która właśnie równocześnie miała być na Rusi po raz pierwszy wywołaną, bo Baśka wygadywała na panów Lachów co się buntują przeciw cesarzowi. Wobec tego potwora moja matka czuła wstręt i bojaźń, i sypiała z ręką na gardle z obawy, aby ją Baśka nie udusiła.

W tej strasznej więziennej egzystencyi wizyty mojej ciotki z dziećmi bywały jedyną pociechą, lecz wizyty te zrazu były utrudnione, rzadkie, raz w tydzień na krótką chwilę, zawsze w obecności urzędników: Schillaja i p. Wirfla, który nigdy nie miał czasu, zawsze się spieszył do swej narzeczonej i przerywał wizytę, dopokąd nie dał się zmiękczyć podarkami mej ciotki dla tej narzeczonej.

Z sąsiedniej kaźni odzywały się niekiedy głosy, śpiewy, rozmowy, zwłaszcza latem, przez okna i kosze. To znów rozmowy przez ścianę za pomocą pukania, lecz i takie rozmowy przerywała Baśka grożąc denuncyacyą. Przez wizyterkę u drzwi widywała moja matka przechodzących współtowarzyszy więzienia, gdy szli na indagacye. Czasem kerkermeister Berezowski, lub jaki dobry złodziej prowadzący politycznych więźniów pozwalał zatrzymać się przechodzącym dłużej na korytarzu. Jednym z sąsiadów kaźni więziennej mej matki był Teofil Wiśniewski. Miał to być człowiek sympatyczny i szlachetny. Wiedziano, że sprawa jego stoi źle i że mu grozi szubienica. Moja matka chciała go pocieszyć, mówiąc, że lepsze otrzymała wiadomości z miasta, »co do mnie — odrzekł — nie łudzę się, wiem naprzód jak się to skończy«.

Jednego dnia przechodząc przez korytarz w kajdanach, wiedziony przez żołnierzy, zatrzymał się Teofil

Wiśniewski przed drzwiami mojej matki i rzekł: żegnam panią, módl się za mą duszę... bądź wolną!

Gdy moja matka padła na kolana i zatopiła się w modlitwie, dały się znów słyszeć na korytarzu ciężkie kroki i szczęk kluczy otwierających drzwi. To kerkermeister Berezowski wchodził mówiąc: pozwoli pani przypatrzyć się przez okno, bo stąd właśnie widać tę górę. Przyłożył lunetę mojej matki do oczów, i rzekł: *also!* już wiszą.

* * *

Po ukończonych indagacyach, które trwały parę miesięcy, przewieziono moją matkę z gmachu pokarmelickiego do więzienia przy kościele Maryi Magdaleny, które dziś jest domem poprawy dla kobiet. Więzienie to miało być lżejszem, lecz mojej matce dano kaźń przy samym kościele, pełną wilgoci, która miała podkopać jej zdrowie na całe życie.

Nie lżejszem ale weselszem było to więzienie, bo staraniem mojej ciotki i za wysokiemi protekcyami usunięta została owa towarzyszka, złodziejka Baśka. Zastąpiła ją pani Boguszowa, bardzo piękna, wesoła i sympatyczna osoba, lecz wnet ciężka choroba raka, która się w więzieniu wywiązała, była powodem jej uwolnienia. Dookoła zaś w sąsiednich kaźniach wielu dobrych znajomych. Rozmowy przez okno lub za pomocą pukania mogły się odbywać bez przeszkody. Był nawet ogródek do spaceru, a właściwie czworobok deskami zasłonięty i zapełniony szczurami, nie dziw, że z przyjemności takiej przechadzki moja matka rzadko korzystała. Najważniejszą atoli była ta okoliczność, że okno i kosz były znacznie niższe, a naprzeciwko stał dom, pałac Baworowskich, przez dobre napełniony duchy. Mieszkała w tym domu znana z gorących uczuć katolickich i polskich Ksawera z Brzozowskich hr. Grocholska. Zacna ta pani

wraz z Różą Sobańską wysyłały paki książek i innych przyborów zesłańcom sybiryjskim. Teraz pani Grocholska, na wieść o rzezi tarnowskiej i więźniach we Lwowie, osiadła w tem mieście, aby przynosić tym nieszczęśliwym rodakom ulgę i pociechę. Najęła mieszkanie naprzeciw więzienia, otwierała okna i grywała i śpiewała całymi wieczorami przy fortepianie. Znajdowała tysiące sposobów przerwania więźniom smutnych myśli, przyniesienia ulgi i pomocy. Wywiadywała się o rodziny więźniów i roztaczała nad nimi opiekę. Zawiązała ściślejszą przyjaźń ze Stanisławem Stojowskim, a korespondencyę rozpoczętą w więzieniu prowadziła potem z uwolnionym do śmierci. Zaznajomiła się także z moją ciotką, ściągnęła ją do domu, zapoznała nas dwoje dzieci z dwoma córkami, z których starsza Marya (późniejsza księżna Witołdowa Czartoryska) smukła brunetka, była dorastającą naówczas uroczą panienką, młodsza Helena blondynka, dzieckiem nam rówieśnem. Często hr. Grocholska zachodziła do więzienia Maryi Magdaleny, i spotkawszy raz moją matkę, idącą pod strażą do ogrodu więziennego, rzuciła się jej w objęcia, mówiąc: dwóch rzeczy pani zazdroszczę, więzienia i takiej, jak pani masz, przyjaciółki. W pamięci dziecka utkwiła mi wysoka postać tej zacnej pani, z blond włosami i w złotych okularach, o ruchach żywych i dziwnie serdecznem obejściu.

Gorące zajęcie się więźniami politycznymi tej pani, przybyłej z innej dzielnicy polskiej, dziwnie odbijało od zupełnej obojętności wielkiego świata lwowskiego, wśród którego moja matka liczyła wielu bliskich krewnych. Z wyjątkiem matki Kazimierza Starzeńskiego, która była wujenką a zarazem matką chrzestną mojej matki, i często nas odwiedzając przyrzekała, że jej syn użyje swych wpływów na dworze wiedeńskim na korzyść swej siostrzenicy, nikt z krewnych o moją matkę i jej dzieci w tym roku więzienia się nie spytał. Podobno tej zimy po rzezi tar-

nowskiej i wobec przepełnionych więzień *high-life* lwowski bawił się dość ochoczo na salonach oficyalnych i w towarzystwie wyższych dygnitarzy rządowych i wojskowości. Za rok inny w tych sferach miał powiać prąd i zamiast czarno-żółtych miano przywdziewać trójbarwne kokardy, a moja matka po swem uwolnieniu unikać musiała objawów hołdu, popularności i mody.

Policya austryacka nie bez porozumienia z policyą rosyjską wzbroniła dalszego we Lwowie pobytu opiekunce więźniów, hr. Ksawerze Grocholskiej. Niechętnie opuszczając ten posterunek gorącej Polki, skłoniła moją ciotkę aby przyjęła jej apartament w pałacu Baworowskich *vis à vis* więzienia Maryi Magdaleny. Drugą połowę mieszkania zajęła siostra Wincentego Pola, pani Longchamps, której mąż także siedział u Maryi Magdaleny.

Tymczasem proces polityczny mojej matki z pierwszej instancyi, gdzie zapadł wyrok dziesięcioletniego więzienia, przeszedł do apelacyi. W apelacyi było jeszcze wielu konsyliarzy Polaków z dawniejszych czasów, gdyż w *forum nobilium* młodzież obywatelska przyjmowała urzędy. Za rozporządzeniem atoli najwyższem, które nadeszło z Wiednia, wszystkich konsyliarzy Polaków wykluczono z tego senatu, który miał rozstrzygać w drugiej instancyi o zbrodniach i przestępstwach stanu. Polakom zostawiono do rozstrzygania tylko pospolite sprawy karne.

Prezesem sądu wyższego był baron Entzensdorf, poważny i zacny Niemiec, wypróbowanego patryotyzmu austryackiego, lecz wcale nie dzielący polakożerczych nienawiści, jaką się odznaczała niższa zwłaszcza biurokracya, przeważnie z Czech werbowana.

Gdy przyszła na stół sprawa mojej matki, Entzensdorf wbrew wskazówkom z Wiednia, zwołał plenum konsyliarzy, gdzie obok Niemców zasiadali Polacy, jak

Ciołkosz, Czaderski, Michałowski i inni. Konsyliarze Polacy przeważyli szalę, i nie bez wpływu prezesa apelacyi Entzensdorfa, zapadło postanowienie znoszące wyrok pierwszej instancyi i uwalniające moją matkę od win zarzucanych przez oskarżenie. Lecz sprawa wobec różnicy wyroku w dwóch instancyach, miała jeszcze pójść do najwyższego trybunału w Wiedniu. Po takim zwrocie sprawy otucha wstąpiła w serca, zwłaszcza, że dwaj krewni, Kazimierz Starzeński i Wit Żeleński, mający w Wiedniu wielkie wpływy, przyrzekli mej ciotce poparcie. Stało się atoli inaczej. Jeden z konsyliarzy, Niemiec, z najzażartszych jakby dziś powiedziano hakatystów, nazwiskiem Heimberger, przesłał do najwyższego trybunału *votum separatum* za winą mojej matki, i to z tem zaskarżeniem i denuncyacyą prezesa Entzensdorfa, że w tym wypadku popełnił nadużycie, zwołując plenum z konsyliarzów Polaków i Niemców złożone. Denuncyacya skutkowała, Wiedeń potwierdził wyrok pierwszej instancyi. Gdy ta stanowcza decyzya z Wiednia nadeszła, zacny Entzensdorf na posiedzeniu apelacyi rzekł: »Ja tego wyroku nie podpiszę; gdy po czterdziestu latach wiernej mej służby byłoby moją fantazyą uwolnić jedną kobietę, monarchia austryacka nie runęłaby jeszcze. Dziś podaję się do dymisyi, a niech podpisze ten, co mnie oskarżył!« — i plik dokumentów rzucił w twarz denuncyanta.

Gdy moja ciotka wraz z nami dziećmi nazajutrz przybyła do prezesa Entzensdorfa, powitał ją słowami: *Madame, je ne pui plus rien, je ne suis rien.* Moja ciotka składała tylko dziękczynienia za jego szlachetny czyn, i dotąd wymienia go codziennie w pacierzu za zmarłych.

Entzensdorf był spokrewniony z rodziną Hallerów i miał pasierbicę poślubioną hr. Romanowi Bobrowskiemu z Andrychowa.

Teraz już wyrok dziesięcioletniego więzienia był nieodwołalny, a jednak coś w powietrzu budziło nadzieję, zwiastowało zmianę.

Do Galicyi przybywał nowy gubernator, hrabia Stadion. Podążył on do Czerniowiec, zatrzymywał się w Kołomyi i Stanisławowie, aby nie przybyć do stolicy kraju w pierwszych dniach po straceniu Wiśniewskiego i Kapuścińskiego.

W pierwszym dniu po przybyciu Stadiona, moja ciotka z dwojgiem dzieci znalazła się w poczekalni pałacu gubernialnego. Sala audyencyonalna zapełniona była złotymi kołnierzami i mundurami. Jakież było wszystkich zdziwienie, gdy wysoki kamerdyner oznajmił, iż pan gubernator najpierw prosi na posłuchanie tę panią w żałobie z dziećmi. Hrabia Stadion z uprzejmością wielkiego pana dopytywał się o sprawę mojej matki, ubolewał nad tak surowym wyrokiem, przyrzekał, o ile jest w jego możności, wszelkie ulgi, prosił aby się do niego udawać, ilekroć tego będzie potrzeba, i z niezmierną życzliwością zwrócił się do nas dzieci. Nazajutrz pierwszy jego wyjazd był do więzienia Maryi Magdaleny i pierwsza wizyta w kaźni mojej matki.

W kilka dni później wśród nocy wybuchł pożar w więzieniu, nierychło spostrzeżony przez straż, rozszerzył się nagle, tak że okna w kaźniach więziennych zaczęły od gorąca pękać, a płomienie z wnętrza gmachu dostawały się na dach.

Więźniowie zbudzeni ze snu w przerażeniu i pospiechu ubierali się w to, co z sukien mieli pod ręką, i każdy chwytał jakiś przedmiot cenny, jakąś pamiątkę, aby ją wynieść z płomieni. Cóż kiedy drzwi wszystkich kaźni były zamknięte. Alarm był już w mieście, straż pożarna z sikawkami i beczkami pędziła, tratując ludzi po drodze, a więźniów jak nie puszczano tak nie puszczano z zamknięcia, bo nadzorujący urzędnik postano-

wił, że nie można więźniów wypuścić dopokąd nie przybędzie wojsko z odwachu i nie utworzy czworoboku. Tak minęło półtory godziny wzmagającego się niebezpieczeństwa, że gdy schody pożar ogarnie, przystęp do więźniów będzie niemożebny. Moja ciotka mieszkająca naprzeciw więzienia, pierwsza była na ulicy, patrzała na gmach cały w płomieniach, w którym zamknięta jej przyjaciółka, i omal nie została roztratowaną przez pędzące sikawki i maszerujące wojsko.

Wreszcie gdy kaźnie otwarto i struchlali więźniowie znaleźli się na ulicy, otoczeni dokoła kilku kompaniami wojska, moja matka dosłyszała krzyk swej przyjaciółki, zwraca się więc do oficera z prośbą: »moja przyjaciółka mieszka z moimi dziećmi tu naprzeciw, na miłość Boską zaklinam pana, abyś zechciał ten krzyżyk przesłać, jako znak, że żyję i jestem w bezpiecznem miejscu«.

— Nie rozumiem po polsku — odrzekł oficer poprawną polszczyzną.

Wtem rozstępuje się wojsko, bo zbudzony ze snu przybywa na miejsce pożaru gubernator hr. Stadion.

Pożar tymczasem przygasł. Stadion po zbadaniu przyczyn ognia, napomnień urzędników, gdy już więźniów odprowadzono do kaźni, oświadczył chęć widzenia mojej matki, i zbliżywszy się w sali przeznaczonej do wizyt, uspokoił ją kilku uprzejmemi słowami.

Postępowanie pełne względności dla więźniów nowo przybyłego gubernatora wywarło wpływ na całą rzeszę urzędniczą. Odszczególnianie zaś mojej matki i jej przyjaciółki w podziw sfery biurokratyczne wprowadzało.

Zdarzyło się raz, że hr. Stadion spotkawszy moją ciotkę z dziećmi jadącą pojazdem, zbliżył się do powozu i chwilę rozmawiał; widział to prezes sądu. Chcąc przewyższyć gubernatora w uprzejmości, gdy pojazd mojej

ciotki zajeżdżał przed gmach sądowy, pan prezes wybiegał na ulicę i sam drzwiczki otwierał, choć przed paru tygodniami jeszcze zaledwie raczył przyjmować moją ciotkę, przybywającą w jakiejś instancyi do biura, i z krzesła swego nie wstawał.

Wizyty nasze w pałacu gubernatorskim bywały częste, gdy chodziło o pewne ulgi dla mojej matki i dla innych towarzyszy więziennych.

Ów wysoki kamerdyner, którego długie lata później widywałem za rządów hr. Gołuchowskiego i jego następców, miał rozkaz od hr. Stadiona, aby tę panią z dziećmi najpierw wpuszczać i aby przynosić tacę z cukrami.

Hr. Stadion rozmawiał z moją ciotką, nam podawał cukry i kładł się na dywanie, aby się z dziećmi bawić.

Raz moja siostra zapytała go: dlaczego pan z moją ciotką rozmawia po francusku, kiedy my nie rozumimy dobrze.

— Bo ja nie umiem po polsku, bo ja jestem Niemcem — odrzekł po polsku.

— Pan nie Niemiec, bo pan dobry człowiek — brzmiała odpowiedź prawdziwego *enfant terrible.*

Ça devait être très amusant, mais hèlas je n'ai pas compris — rzekł na tę ripostę z miną dyplomatyczną do mojej ciotki.

Widzę jeszcze tę postać wysoką, ze ściągłą twarzą, okoloną blond faworytami, i z wielką łysiną. Wśród nas dzieci zachował on nazwę dobrego Niemca, od tej rozmowy z moją siostrą. I był hr. Stadion dobrym Niemcem, dobrym Austryakiem. Przybył do kraju w najsmutniejszej chwili, w czasie krótkich rządów zrobił wszystko, aby stan rzeczy złagodzić. Rozwiała się już dziś pod wpływem krytyki i dokumentów historyczna legenda, bardzo płytka, jakoby hr. Stadion za radą hr. Gołuchowskiego stworzył kwestyę ruską w Galicyi. Biograf hr. Gołuchowskiego, oparty na dokumentach i relacyach

urzędowych dowiódł, że rzecz miała się wręcz odwrotnie. Kwestya ruska wystąpiła na jaw, bo wystąpić z loiki faktów musiała, gdy zniesiono poddaństwo i zrównano politycznie prawa wszystkich stanów. Unia łączyła szlachtę polską ze szlachtą litewsko-ruską, a proces asymilacyi narodowej nie dotarł do warstw ludowych. Ruch demokratyczny i ruch narodowościowy 1848 r. musiał obudzić uśpioną kwestyę ludowo-szczepową. Prawdą jest że oddawna biurokracya czuwała, aby w myśl zasady *divide et impera* rozdział między Polakami a Rusinami wzniecić. Pracował nad tem Krieg, a czy hr. Stadion miał czas dołożyć do tego także ręki, nie rozstrzygamy, lecz to już zostało udowodnione, że jego następca, hr. Gołuchowski, toczył walkę z komendantem wojskowym Hammersteinem, wielkim opiekunem Rusinów, i z ich przyjaciółmi, centralistycznymi ministrami, wykazując niebezpieczeństwo, jakie tkwi w rozniecenìu sprawy ruskiej. Pisał on do Wiednia w swych raportach: »zwalczył cesarski rząd szlachtę polską, która dążyła do odrębnego państwa ze stolicą w Warszawie, a teraz chce popierać odrębność ruską, która dąży do osobnego państwa ze stolicą w Kijowie«. Podziwiać należy po przeszło pół wieku śmiałość i bystrość tego ostrzeżenia prawdziwego męża stanu.

Hr. Stadion krótko rządził we Lwowie, i zostawił tu niejeden ślad swej dobrej woli, ludzkości i taktu. Powołany na ministra spraw wewnętrznych do Wiednia, starał się przeprowadzić tam swój plan zupełnej zmiany systemu rządów wobec Galicyi, i stwierdził, że system dotychczasowy porównać się tylko da do gospodarstwa dzierżawcy, rujnującego wieś jakby na to, aby się jej jak najprędzej pozbyć. Oprócz znanych relacyj hr. Stadiona w tym duchu z jego czasów gubernatorskich we Lwowie, mamy potwierdzenie tych jego dążności w świa-

dectwie ustnem Stanisława Starowieyskiego, który był urzędnikiem w ministerstwie pod hr. Stadionem.

Tymczasem w kraju powstała owa legenda o stworzeniu Rusinów przez Stadiona, i za tą legendą i za prądem opozycyjnym poszli posłowie polscy w sejmie rakuskim i okazali nietylko polityczną lecz i osobistą do ministra niechęć, która go podobno bardzo boleśnie dotknęła. Wiadomo, że hr. Stadion ustąpił niebawem z ministeryum, dotknięty chorobą umysłową, podobno częstą w jego rodzinie.

Po tem zboczeniu wróćmy do więzienia. Najważniejszą ulgę i łaskę otrzymała moja ciotka od gubernatora, gdy zezwolił, aby ją zamknięto razem z moją matką; opierały się temu długo władze sądowe, jako rzeczy przeciwnej prawu, lecz wobec woli gubernatora ustąpić musiały.

I nas dwoje dzieci wpuszczano na cały dzień do kaźni mojej matki, i wracaliśmy tylko na noc do pałacu Baworowskich. Byłem więc więźniem stanu w piątym roku mego życia, i tak pamiętam każdy szczegół tego więzienia, każdą postać jaką tam spotykałem, że po wielu latach dawnych kolegów więziennych na pierwsze wejrzenie poznawałem.

— To nasz kolega z więzienia — mówił w dwadzieścia lat później Teofil Ostaszewski, przedstawiając mnie Zygmuntowi Kaczkowskiemu.

— To musi być Ludek Dębicki — odrzekł powieściopisarz, — skoro taki młody.

Używałem bowiem wielkich przywilejów i swobody w tem więzieniu, dzięki protekcyi pana gubernatora. Wolno mi było chodzić z wizytami po wszystkich kaźniach, a bywało w tych kaźniach już wesoło.

Nie sprawiła tej zmiany sama względność gubernatora, o wiele więcej współczesne wypadki europejskie. Każdy dzień przynosił wiadomość o wybuchających po

kolei w różnych stronach świata rewolucyach, zacząwszy od Paryża, Madrytu i Neapolu zbliżał się coraz więcej ruch rewolucyjny ku granicom monarchii habsburskiej. Ruch ten szedł nie pod czerwoną chorągwią przewrotowców lecz pod trójbarwnym sztandarem narodowego braterstwa i wyzwolenia. Taki sztandar powiewał w dniach lipcowych w Paryżu i powiewał z Kapitolu w Rzymie.

Każda wieść o wybuchu nowej rewolucyi witaną była objawami radości wśród więźniów. Schodzili się oni jak więźniowie w »Dziadach« do wspólnej kaźni, choć nie było poczciwego jak tam kaprala, co walczył pod Napoleonem, ale stary kerkermeister Berezowski ujęty podarkami, chętnie otwierał kaźnie i ułatwiał schadzki. Brakowało tam Konrada i nie było improwizacyi, lecz schadzki te więzienne nie odbywały się bez pieśni, deklamacyi i śpiewów. Schodzono się do najobszerniejszej kaźni Leona Konopki, któremu zawsze wmawiano jakąś solenizacyę: czy to było Leona czy Leoncyusza, Eleonory lub Leontyny, zawsze poczciwy baron musiał towarzyszy podejmować i przynoszono z miasta kosz z winem. Gościnny gospodarz grywał na flecie, a koledzy więzienni tańczyli. Gdy nie było libacyi i ja bywałem przypuszczany do takich zebrań, a pięcioletni malec bywał oczywiście ulubionym benjaminkiem. Zachowałem wrażenie dziwnej swobody, jaka panowała tam za kratami, gdzie wszystkie troski ustają, bo ustaje już walka i odpowiedzialność, lecz aby zapanowała ta swoboda, potrzeba promyka nadziei. Teraz nadzieja zamieniała się w pewność blizkiego wyzwolenia, bo zdala biły blaski nowej zorzy.

Z tej społeczności więziennej u Maryi Magdaleny zapamiętałem Stanisława Stojowskiego, dobrego przyjaciela mej rodziny, który nawet w więzieniu nie zdjął żupana, bo całe życie nosił się po polsku, trochę krótko ze szwedzka, i miał bardzo rycerską postawę a dużo szla-

checkiej fantazyi. Robił on w kaźni figurki z wosku i układał wiersze. Inni pletli sylwetki z włosów na pamiątkę dla drogich osób, byli i tacy, co w braku zajęcia haftowali na krosnach. Było tam dwóch braci Romerów, Wilhelm odznaczający się pobożnością i łagodnością, i pełen jowialności Bronisław. Pamiętam, jak ten ostatni droczył się ze mną, że moją matkę uwięziono za ukradzioną krowę, a ja odparłem, że jego za podpalenie wsi. Był Henryk Bielański, brat przyjaciółki mej matki; Teofil Ostaszewski ze Wzdowa, Jan Niedzielski ze Śledziejowic, powieściopisarz Zygmunt Kaczkowski, Jan Gumiński ze Zalesia, Łubkowski, Leon Konopka... Innych nie pomnę, bo ich później nie spotykałem w życiu. Z wszelkiego koleżeństwa najserdeczniejszem bywa koleżeństwo kaźni więziennej.

Do Spilbergu wywieziono braci Wiesiołowskich i Adolfa Bobrowskiego, jako przywódców spisku. Byli inni w więzieniu u Brygidek na Grodeckiem we Lwowie.

Wobec tych zwolnień, wywołanych zbliżającą się rewolucyą, okna otwierały się na ulicę i w wielu kaźniach strącono kosze. Jednego pogodnego dnia marcowego ujrzano pojazd, a w nim dwóch mężczyzn stojących i powiewających białą chustką; wołali oni: dziś będziecie wolni! Tymi pierwszymi zwiastunami amnestyi byli Mieczysław Darowski i Rogójski.

Za chwilę ujrzano tłumy ludzi biegnących od miasta.

Wrzawa powstała w więzieniu, drzwi od kaźni wywalano, straż nie wiedziała co począć, kryminaliści prości złodzieje, którzy pełnili funkcye pomocników straży i żyli w pewnej poufałości ze swymi politycznymi kolegami, często przez nich opłacani, żegnali się mówiąc: »panowie będziecie wolni, ale co z nami się stanie?«

Nadjechał pojazd z prezesem sądu, który przywiózł z sobą akt amnestyi, za nim pojazd drugi, a w nim książę Leon Sapieha z Franciszkiem Smolką, oraz sędziwy

prezes Wasilewski. Aktu amnestyi nie chciano słuchać, i prezesa dopuścić do słowa, natomiast na życzenia i powitania księcia Sapiehy, Smolki i prezesa Wasilewskiego, odpowiedziano brzmiącymi okrzykami radości.

Zamki i rygle się odsunęły, drzwi żelazne otwarły, straże ustąpiły, a więźniowie wyszli gromadnie ze Smolką i Sapiehą na czele; przed gmachem oczekiwały już zastępy ludu, kobiet, młodzieży uniwersyteckiej i publiczności, a wielu miało już trójkolorowe kokardy.

Zaczęły się owacye, objawy radości, manifestacye na cześć więźniów.

Moja matka uradowana lecz i strwożona, z przyjaciółką moją i dwojgiem dzieci, chciała ujść niepostrzeżenie, pragnęła również odetchnąć wolnem powietrzem po roku ciężkiego więzienia.

Oddaliła się więc od grupy towarzyszy więziennych i szła z przyjaciółką w miasto.

Więźniów chwytano na ręce i niesiono w tryumfie do miasta, wtem ktoś zawołał z balkonu, pani Celina Dębicka idzie! Lękając się aby podobnej nie doznała owacyi, moja matka daje znak wołającej, aby nie zdradzała jej obecności, i chroni się do tego domu, gdzie cała rodzina nieznajomych osób padła jej do nóg. Z rozrzewnieniem moja matka przyjęła te objawy sympatyi i współczucia nieznanych sobie osób, błagając, aby nie zdradzano jej obecności.

Przez dni następne i przez następne miesiące nie było chwili, w którejby moja matka nie doznawała objawów czci patryotycznej ludności Lwowa.

Pierwszy objaw hołdu utkwił w pamięci nas dzieci, bo były to torty, cukry i wyborny placek serownik, który przyniósł cukiernik Pasławski, gdyśmy wracali po raz pierwszy do domu, a zapłaty przyjąć nie chciał. Znów z jakiegoś ogrodu przysłano kosze kwiatów. Zjeżdżały się przed dom ustawicznie pojazdy, znajomi i nieznajomi,

panie wielkiego świata i deputacye różnych stowarzyszeń przybywały z życzeniami. W dniu imienin mojej matki, 6 kwietnia, cały szereg takich przybył deputacyj, między innemi młodzież akademicka w mundurach gwardyi narodowej z Juliuszem Kossakiem na czele przybyła wręczyć wieniec z niezapominajek i z napisem: Polce Republikance. Wieniec ten jeszcze przechowujemy, choć moja matka republikańskich zasad nigdy zbytecznie nie wyznawała.

Jednemi z pierwszych, które na wolności powitały moją matkę, były dawne dobre przyjaciółki, pani Szeptycka i pani Felicya z Rejów Tyszkiewiczowa.

Przybyła deputacya pań żądająca, aby moja matka wzięła udział w patryotycznej manifestacyi, która się miała odbyć w teatrze, i proponowały, aby tańczyła poloneza w pierwszą parę z Adamem Zamoyskim z Łopatyna, on w kontuszu, moja matka w kontusiku i konfederatce. Moja matka, jak wszystkich tak i tych manifestacyi uniknęła, wymawiając się zdrowiem podkopanem przez więzienie i potrzebą spokoju, ciszy, wypoczynku.

Nie zdołała się tylko wymówić od gorącego zaproszenia pani Żebrowskiej z Żurawna, która dla mojej matki dała duży wieczór. Tam po raz pierwszy od dziecinnych swych lat spotkała całe grono dam w bliskiem będących pokrewieństwie, i cały wielki świat lwowski. Odbywał się w tych sferach arystokracyi galicyjskiej nagły zwrot pod wpływem wypadków. Jak przedtem niemczyzna panowała w salonach wraz z wiedeńskim szykiem, tak teraz nagle zaczęto się prześcigać w objawach patryotyzmu. Szambelańskie pochowano mundury, zaczęły się pojawiać kontusze i konfederatki. Jak przedtem o względy arcyksięcia, bar. Kriega i następnych gubernatorów, tak teraz na wyścigi starano się o względy królowej opinii. Przyjaźń i pokrewieństwo z tą, która miała aureolę świeżo przebytego więzienia, była dziś równie cenną,

jak przed paru miesiącami kompromitacyą. Nie miały jednak te uprzedzające objawy wielkiej ponęty dla mojej matki. Zamknęła się w ciasnem kółku dobrych znajomych i unikała zarówno hołdów ulicy jak hołdów salonu.

Zamieszkaliśmy w pałacu Kômorowskich za Kręconymi Słupami na Zielonem; był to raczej parterowy dworek z okrągłym salonem, z którego było wyjście do pięknego ogrodu, pełnego róż i jaśminów.

Pamiętam rewję gwardyi narodowej na placu Jabłonowskich, gdzie dowodził na koniu jenerał Dwernicki. Widząc mundury polskie pragnąłem zapisać się do gwardyi i moja matka sprawiła mi mundur i karabinek. Mustrując się na dziedzińcu upadłem i lufką z karabinka zraniłem się pod uchem, z rany tej byłem bardzo dumny, a blizna została na długo.

Niebawem moja matka wyjechała z dziećmi na lato do krewnych swej przyjaciółki, Bielańskich w Turzem, w góry samborskie na żętycę. Miły to był pobyt, zwłaszcza, że liczne zastáliśmy towarzystwo dzieci. Powróciliśmy jesienią do Lwowa.

* * *

Więzienie ma to do siebie, że daje wiele czasu do rozpamiętywania. Słabe tylko duchy gną się pod grozą kaźni, a gdy ona minie powracają do dawnej lekkości. Głębsze dusze i umysły nie zmnieniają w tej próbie uczuć i celów, lecz dojrzewają w samotności, analizują przeszłość, biorą krytycznie przyszłość.

Śmiało twierdzić możemy, że ciężkie więzienia po 1846 roku wywarły ten dodatni wpływ na wielu skazańców politycznych, odbiły się w usposobieniu następnego pokolenia. Straszna zbrodnia ciężyła na rządach w Galicyi, były też i winy społeczeństwa, które wrogom dopomagały w tem, co doprowadziło do krwawej kata-

strofy, winy lekkomyślności i łatwowierności. Był czas w tych kaźniach więziennych do rozpamiętywania, na jakich podstawach opierał się ten ruch, o którym chłopi mówili »z motyką na słońce«. Ułudy i kłamstwa jednych, a bezgraniczna płochość drugich. Kierownicy spisku opowiadali baśnie, jakoby w Karpatach całe obozy powstańcze były gotowe i czekały tylko na hasło; to znów, że wojsko, zwłaszcza węgierskie, przygotowane jest do przejścia na stronę powstania; zapewniali oni do ostatniej chwili, że lud masami się ruszy przeciw trzem rządom, a poparcie całej Europy, zwłaszcza Francyi i dążących do republiki Niemiec, zapewnione niewątpliwie! Tym wszystkim baśniom dawano wiarę bez zastrzeżeń. Jeśli ktoś wątpliwości podnosił, padała na niego kondemnata, jako na źle myślącego i pozbawionego patryotyzmu. Zbyt silne były wrażenia w sercu dziecka z tych krwawych wypadków i z tego więzienia, aby się już nie odbiły w dziecka umyśle te rozpamiętywania popełnionych błędów w kole rodzinnem, w opowiadaniach i wynurzeniach najbliższych osób.

Wychodzących z więzienia powitać miał zalew nowej blagi, która szerokim potokiem, niekiedy kałużą potwarzy rozlewała się w dziennikach, które wyrastały w r. 1848 jak grzyby po deszczu. Znajdowała ta sama blaga polityczna wyraz w hałaśliwych klubach i radach narodowych. Wszystko tam wydawało się możebne i pewne, zwłaszcza wobec nagłych a zadziwiających wypadków i przewrotów europejskich. Popęd do manifestacyi dodawał temu gorączkowemu ruchowi pewien pozór arlekinady. W gwardyi narodowej bawiono się już w wielką armię, a najmilsze marzenia zdawały się być bliskiemi urzeczywistnienia. Z przybyciem emigracyi napłynęło także wiele żywiołów radykalnych, krzyku i hałasu, a zwłaszcza haseł i doktryn komunistyczno-demagogicznych. Groza przebytych świeżo nieszczęść pu-

blicznych i rodzinnych wywołać musiała pewną reakcyę. W miarę im więcej licytowali się w skrajnym patryotyzmie ci, co dotąd innymi chodzili drogami, a Lwów zniemczony od góry do dołu objawiał we wszystkich sferach gorącość neofitów polskości; w tym samym stopniu tam, gdzie tkwił duch polski i świeżem okupiony był cierpieniem i ofiarą, tam powstawał zwrot wewnątrz siebie, pogłębiał się pogląd i rozróżniać się zaczęły opinie co do środków i dróg.

Przez zasłonę krwi, której tak obfite strugi wytoczono, i przez mgłę łez, której strumienie popłynęły, spoglądano w domu naszym na te *fata morgana*, jakie rok 1848 rozwinał dokoła. Nie była to utrata wiary, ani osłabienie miłości dla wielkiej sprawy przyszłości narodu, lecz nadzieja utraciła swą siłę, aby każde światełko brać za jutrzenkę, kiedy ono często bywało tylko tą świeczką, w której opalają się skrzydła.

Nie jest mojem zadaniem w tych osobistych wspomnieniach opisywać ruchu 1848 r., zaznaczam tylko psychologiczny moment tego zwrotu, który odbił się w rozwoju pierwszych myśli sześcioletniego chłopca...

Brzmiały tam słowa: demokracya, powszechna Rzeczpospolita, które w tych pogadankach wieczornych wywoływały cichy protest. Sejm we Frankfurcie miał być pierwszem potwierdzeniem tych idei przyszłości, które miały przynieść wyzwolenie i zadośćuczynienie naszym krzywdom. Wnet jednak przyszło pierwsze rozczarowanie, gdy na tym sejmie, gdzie koryfeusze niemieckiego liberalizmu i republikanizmu mieli przewagę, zapadła uchwała stwierdzająca prawowitość rozbiorów Polski. Po tem znów elektryzowały czyny wojenne jenerała Bema po zdobyciu Wiednia, i zwycięskie potyczki Mierosławskiego w Wielkopolsce. Obok czasopism zapełnionych gwałtowną polemiką i osobistemi napaściami,

znajomi przynosili broszury, w które obfitował ten rok poruszający pióra i prasy.

To wszystko budziło już żywą ciekawość przyszłego dziennikarza, który oparty o kolana matki wsłuchiwał się w te dyskusye i pogadanki. W kółku domowem przejmowano się najgoręcej Psalmami Krasińskiego, czytano z zajęciem Przedburzę Trentowskiego, chwalono broszurę księcia Władysława Sanguszki »Rachunek sumienia«, odsuwano natomiast z niechęcią i wstrętem cały stos pism codziennych, zacięte prowadzących polemiczne spory. Pieśnią jednak, która najgłośniej rozbrzmiewała, bo najsilniej odbijała grozę przebytych nieszczęść, był »Chorał« i »Skargi Jeremiego« Kornela Ujejskiego.

Autor, który niedawno powrócił z Paryża, przybył do nas z sędziwym ojcem, który w stroju polskim był pięknym typem starego szlachcica. Odnowiły się stosunki pokrewieństwa na tle wspomnień Świerczkowa. Kornel żenił się wówczas z hrabianką Henryką Komorowską, pisał wiersze »do mej bladolicy«, a stał u szczytu swej sławy i swego talentu, który tak spiesznie miał się wyczerpnąć.

Młody Włodzimierz Dzieduszycki przychodził często do domu mej matki z dawnym swym guwernerem Kleczkowskim, któremu wiele zawdzięczał, a któremu miał się odwdzięczyć nadaniem dożywocia dwóch pięknych wsi Skomorochy i Walawka w Sokalskiem. Był wówczas chudym i jąkał się o wiele więcej niż w późniejszym wieku. Córkę państwa Kleczkowskich trzymał do chrztu pan Włodzimierz z moją matką, nie przeczuwając, że chrześnica zasłynie na scenie jako śpiewaczka, później poślubiona przez holendra, hr. Van der Meere.

Postacią zajmującą był Adam Zamoyski z Łopatyna, niskiego wzrostu ale butnej postawy, w stroju polskim, wielką odznaczający się swadą wymowy. On to

odrzekł, gdy go przyszli aresztować w imieniu arcyksięcia Ferdynanda: »był czas, kiedy Zamoyscy brali arcyksiążąt austryackich do niewoli, dziś arcyksiążę każe Zamoyskiego więzić, ale fortuna kołem się toczy«. Wśród grona przyjaciół mojej matki nie mogę pominąć znanego i zasłużonego we Lwowie Mieczysława Darowskiego. Oficer z roku 1831, właściciel wsi w Sanockiem, osiadł we Lwowie z rodziną, odznaczał się uczynnością i gorącym patryotyzmem nie bez tendencyi demokratycznej, w dobrem tego słowa znaczeniu. Posiadał we Lwowie gmach, w którym mieściła się politechnika. W czasie bombardowania rzucono na ten gmach, nie bez rozkazu danego z góry, kilka bomb, gmach zgorzał a z nim cała niemal fortuna rodziny. Darowski nie upadł na duchu, wziął się energicznie do pracy, zdobył sobie stanowisko, wychował zacnie synów, a pomagał komu mógł, kto zażądał rady, zachodu lub środków materyalnych. W obcowaniu był wesoły, w rezonowaniu egzaltowany. Lubił popularność, ale ją zdobywał poczciwą wolą dla wszystkich.

Zacny Dr Orzechowicz przynosił opiekę lekarską naszej rodzinie, a jego żona połączyła się blizką przyjaźnią z moją matką. Pochodziła z możnej rodziny na Pobereżu Obniskich, spokrewnionej z Tyszkiewiczami i Sobańskimi. Dom państwa Orzechowiczów na Jezuickiej ulicy, bardzo gościnny, gromadził często liczne i doborowe towarzystwo. Bywał też u nas Juwenal Boczkowski, ten sam co nas wybawił w czasie rzezi i wywiózł z pośród band chłopskich.

Daremnie starał się bliższą zawiązać znajomość z naszym domem hr. Leszek Borkowski, autor »Parafiańszczyzny«. Lękała się moja matka tej znajomości słynnego pamflecisty, którego zły język a opinie krańcowe bywały postrachem Lwowa. *Parafiańszczyzna* należy do tych książek, które mimo swej lichej wartości stanowią

epokę. Od tego pamfletu bowiem, pełnego osobistych wycieczek a nawet zuchwałych potwarzy, rozpoczął się ten ruch literacko-publicystycznego teroryzmu, który nie minął jednak bez wpływu i był jednym z czynników polonizowania zgermanizowanej społeczności lwowskiej. Smutny to środek ale okazał się skutecznym.

W tych czasach nastąpiło także zbliżenie z rodzinami spokrewnionemi z moją matką: Starzeńskich, Baworowskich, Mierów, Komorowskich, Krasickich.

Potrzeba było uregulować stosunki majątkowe. Dobra w Tarnowskiem przepisane zostały, jak już wspomniałem, na imię żony adwokata, który liczył na to, że więzienie mojej matki trwać będzie lat dziesięć. Jeden rok atoli mu wystarczył, aby obciążyć długami czysty majątek, wprowadzić do tych wsi swoich braci, i podkopać podstawę mienia naszej rodziny. Przyszło do sądu polubownego, wsie adwokat oddać musiał, lecz długów nie mógł, i moja matka dla ratowania reszty zmuszoną była sprzedać Piotrkowice, w chwili gdy był wielki spadek ziemi, więc za półdarmo. Do resztek mienia niebawem miała powrócić na wieś zniszczoną i rozpocząć ciężki żywot wdowi: walki, mozołu i kłopotów.

Pewnej nocy zbudził nas huk armat. Dom Komorowskich, w którym mieszkaliśmy, był na przedmieściu bardzo wystawiony na te strzały ze wzgórza Jabłonowskich. Przerażenie kobiet udzieliło się wnet i dzieciom. Po rzezi i rabunku na wsi, mieliśmy doświadczyć losów wojny w mieście. Wybiegliśmy wszyscy w nocy na dziedziniec: popłoch był ogólny. Moja matka chciała się schronić do sąsiedniego klasztoru Panien Sakramentanek. Zakonnice oświadczyły, że chętnie ją przyjmą, ale bez syna, bo tego reguła wzbrania. Daremne było tłomaczenie, że miałem dopiero lat sześć. Wszyscyśmy więc zostali na miejscu. Zrana wyszedł służący, nasz wierny Jan Gut na miasto, po bułki. Powrócił wnet z pustym

koszykiem i opowiadał, że na rogu ulicy Kręcone Słupy widział jak żołnierz z pułku Deutschmeistrów, z wyciągniętym bagnetem napadł na przechodzącego chłopaka i przebił go na śmierć. Poczciwy Jan zdjął z widełek żelaznych wosk do froterowania posadzki i z tą bronią stanął u wrót domu, mówiąc, że wpierw jego położą trupem zanim żołnierzy dopuści do mieszkania.

Przez cały dzień następny słychać było strzały, a na dziedzińcu stali wszyscy mieszkańcy tej willi. Co chwila jakaś pogłoska o nowym mordzie. Podobno w tym dniu padło pięćdziesiąt kucharek, które wyszły na miasto po sprawunkach.

Pułk Deutschmeistrów odznaczał się okrucieństwem, a żołnierze napadali z dobytymi bagnetami przechodniów, zapytując: Polak czy Rusin. Według odpowiedzi Polaków zabijano, Rusinów puszczano w spokoju. Taki był rozkaz jenerała Hammersteina, sprawcy bombardowania, wielkiego protektora ruchu ruskiego.

Jeszcze strzały nie ucichły, gdy z drugiego końca miasta pani Mieczysławowa Darowska w przebraniu wiejskiej kobiety przedostała się do nas, aby się dowiedzieć, co się z nami dzieje. Dom Darowskich był już w płomieniach.

Gubernator Zaleski, zaledwie po długich sporach i utarczkach, zdołał skłonić jenerała Hammersteina do zaniechania dalszych mordów i zamienienia miasta w perzynę. Warunkiem zaniechania dalszego bombardowania było rozwiązanie Rady narodowej, rozwiązanie narodowej gwardyi zawieszenie dzienników, wydalenie emigrantów.

Pierwsza próba militarnej reakcyi odbyła się w świeżo przyłączonym Krakowie, a w kilka miesięcy później bombardowaniem Lwowa zaznaczył się stanowczy powrót reakcyi.

Pięćdziesiąt pięć lat ubiegło, nietylko *magnum homini aevi spatium*, lecz duży okres dziejów nowożytnych.

Leniwo niekiedy idą lata — spiesznie mijają ich dziesiątki. Pokolenia wymierają, zaledwie kilku starców pozostało z ówczesnych ludzi, i wszystko wkoło się przeistacza. Ileż przeobrażeń, wstrząśnień, ile przepłynęło idei. Przerywa się pasmo tych samych dążeń i uczuć, i tętno myśli uderza odmienną dziś niż wówczas miarą. Rzucone na papier wspomnienia wydają się być wydobyte z tak dalekiej przeszłości, z tak innego świata, jak gdyby się ich nie było osobistym świadkiem. A jednak te przemiany mają punkta zwrotne i chwile powrotne jak linia spiralna, stają przed nami te same po pół wieku próby, podobne wracają niebezpieczeństwa, te same występują problemata. Jedno pokolenie nie przekazuje drugiemu swych doświadczeń, tem mniej synowie dziedziczą spuściznę dorobku po ojcach. Syzyfowy kamień stacza się ustawicznie na dół, i rozpoczyna się ustawicznie od początku robota Penelopy. Tak gorączkowo żyją nowoczesne społeczeństwa, że chwila pochłania wszystko, a rzadko kiedy zwracamy wzrok za siebie, równie jak rzadko z świadomością spoglądamy przed siebie. Stromą ścieżką idziemy ponad przepaściami, z żalem i lękiem spoglądamy na tę, którąśmy przebyli, z tem większą trwogą patrzymy na tę, która się przed nami otwiera. Lecz idźmy naprzód, do końca, bo tam w górze gwiazdy świecą, i czuwa nad rodzinami jak nad narodami oko Opatrzności...

KONIEC.

Omyłki druku.

Strona:	*Wiersz:*	*Zamiast:*	*Ma być:*
1	14 od dołu	e*l*ekcyjny	**erekcyjny**
8	11 od góry	Bidzi*an*ką	**Bidzińską**
8	16 „	Kr*u*kusz*e*wice	**Krakuszowice**
8	18 „	D*em*bickiemu	Dębickiemu
9	16 „	kl*ucz*	**klan**
13	14 „	*Krako*wianek	**Wiatowianek**
14	21 „	*Dus*zanowicach	**Łuczanowicach**
17	10 od dołu	skoli*gowa*na	**skoligacona**
17	9 „	Mi*e*szkowskimi	Mieczkowskimi
15	5 „	Łobżen*ka*	**Łobżenica**
18	12 od góry	M*u*czkowskiej	Mieczkowskiej
18	14 „	Dąbrow*y*	**Dąbrowicy**
19	6 „	K*ąc*kiej	**Księskiej**
19	6 „	Rzędzianow*a*	**Rzędzianowic**
28	10 od dołu	błędzików	**błędników**
31	4 „	pod Ostrołęką i wypadek	pod Grochowem, a póżniej pod Ostrołęką wypadek
33	13 „	Kunegundę	Konstancyę
34	6 i 8 „	wyk*az*ywał	**wykonywał**
35	14 „	b*o*che*ń*skich	**buchcickich**
39	14 „	kochał	**Michał**
44	15 od góry	Gr*yzdar*ski	**Grążewski**
46	2 „	P*o*l	**Pal**
53	11 „	był*o* najstraszliwsz*e* *życie*	**była** najstraszliwsz**a** **rzeź**
54	11 „	w*yższy*ch	**wiejskich**
57	8 od dołu	głuchoniem*y*mi	**głuchoniemcami**
58	13 od góry	E*rz*enbacha	**Eisenbacha**
58	15 „	B*asz*ynie	**Burzynie**
61	3 „	B*ren*dta	**Berndta**

Zamiast B*a*chice ma być wszędzie B**u**chcice

„ W*rób*owice, W*rat*owice, ma być wszędzie **Wiat**owice.


Stanford University Libraries
3 6105 019 192 264

